



Gospodarka

Skarbówka protestuje

Większość „szarych” pracowników urzędów skarbowych zarabia 3-4 tys. zł netto – mówi Agata Jagodzińska, przewodnicząca Związkowej Alternatywy w KAS. Dziś ostatni dzień na rozliczenie PIT ► **3**

Ekonomia+

Jak inwestować w czasach inflacji?

Szukamy najlepszych możliwości ochrony naszych pieniędzy przed inflacją, która w kwietniu wyniosła 12,3 proc. ► **II-III**

Katowice

Ziobro zafundował chaos w sądzie



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ/WYBORCZA

Stworzenie Sądu Okręgowego w Sosnowcu, powołanego dla zaspokojenia ambicji współpracownika Ziobry, spowodowało paraliż w sądach w Katowicach. Ponad sto spraw trzeba prowadzić od nowa, choć niektóre były na etapie mów końcowych ► **8**

ROSYJSKA INWAZJA
NA UKRAINĘ NA
WYBORCZA.PL

**Aktualne informacje,
rzetelne analizy,
nieoczywiste opinie na
Wyborcza.pl**

Wydaje Agora SA, nr indeksu 348198



FOT. SZAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Warszawa

ŚWIĘTO PRACY W CIENIU INFLACJI

Po dwuletniej przerwie ulicami Warszawy przeszedł zorganizowany przez Lewicę, Partię Razem i Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych 1-majowy pochód z okazji Międzynarodowego Święta Pracy. Wzięło w nim udział ok. 2 tys. osób. Powiewały flagi Polski, Ukrainy, Unii Europejskiej i tęczowe. – To powinno być radosne święto, ale to nie jest radosny czas. Dziś pracownicy są biedniejsi, niż byli rok temu – mówił Adrian Zandberg, lider Partii Razem.

• Relacja
► warszawa.
wyborcza.pl

Sensacyjne zeznania w komisji ds. Pegasusa

Jak zarobić na teczках IPN

Andrzej Malinowski, honorowy prezydent Pracodawców RP, mówi, że był szantażowany przez „osobę z obozu rządzącego”, która za 300 tys. zł oferowała mu wstrzymanie publikacji o teczce w IPN

Agnieszka Kublik

Takie sensacyjne zeznania przed senacką komisją ds. Pegasusa złożył w piątek Andrzej Malinowski. To był poseł PSL (1993-97), w latach 2001-21 prezydent Pracodawców RP, od października 2019 r. do października 2020 r. przewodniczący Rady Dialogu Społecznego. Od 2022 r. jest honorowym prezydentem Pracodawców RP.

Przed senacką komisją stanął, ponieważ był śledzony Pegasusem od końca lutego 2018 r. Jego zdaniem chodziło m.in. o krytykę PiS. Ale najbardziej fascynujące okazały się zeznania nie o Pegasusie, ale o szantażu na początku 2019 r.

„Jest taka teczka...”

Malinowski negatywne oświadczenie lustracyjne złożył w czerwcu 1997 r. – Dziwnym trafem tego oświadczenia w IPN nie ma. Byłem kilka razy sprawdzany przez premierów i mam na to oświadcze-

nia notarialne premierów Pawlaka i Millera – mówi Malinowski. – Pod koniec 2018 r. docierały do mnie informacje, że jest teczka w IPN, że w latach 80. byłem tajnym współpracownikiem wywiadu wojskowego. W styczniu 2019 r. zgłosił się do mnie pan z obozu rządzącego, że jest taka teczka, że niejaki pan Piotr Woyciechowski pisze artykuł o tym i że pięknie można to załatwić. Woyciechowski jest w trudnej sytuacji finansowej, został wyrzucony z PWPW [państwowa Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych], zarabia marne pieniądze i jeżeli mu się zapłaci, to odstąpi od napisania tego artykułu.

Malinowski nie podał kwoty, której od niego oczekiwano, ale w kularach parlamentu mówi się o 300 tys. zł. Były poseł odmówił zapłaty.

– Minęło sześć dni, w pracy koleżanka przekazała mi kopertę z tekstem o mnie i archiwach IPN. Artykuł był niepodpisany, bez żadnych

uwag, wydrukowany na komputerze. Trzy tygodnie później ukazał się w tygodniku „Do Rzeczy”, autorem był Piotr Woyciechowski – opowiadał senatorom Malinowski.

Współpracownik Macierewicza

Woyciechowski jest od lat 90. jednym z najbliższych współpracowników Antoniego Macierewicza, za „dobrej zmiany” był prezesem Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Został odwołany w 2017 r., obecnie jest dyrektorem departamentu w Narodowym Banku Polskim.

Malinowski nie chciał zdradzić, kim był pośrednik. Nieoficjalnie mówi się, że to były polityk PiS, który działa w branży PR.

W 2020 r. prokuratura umorzyła śledztwo dotyczące ewentualnego sfalszowania teczki Malinowskiego.

Malinowski nie chciał zdradzić, kim był pośrednik. Nieoficjalnie mówi się, że to były polityk PiS, który działa w branży PR

W lutym 2021 r. oskarżyła go o składanie fałszywych zeznań przed Oddziałową Komisją Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie. Proces trwa.

Komisja powiadomi prokuraturę

Malinowski nie chce rozmawiać o szantażu właśnie z powodu trwającego procesu. „Wyborczej” powiedział jedynie: – PiS rozszerzył definicję terroryzmu. Bo Pegasus miał być wykorzystywany do walki z terroryzmem, a okazało się, że byłem inwigilowany, bo walczyłem o zdrową gospodarkę. A co do pana Woyciechowskiego, to zwykła bandyterka.

Woyciechowski od piątku nie odbiera telefonu. Na Twitterze napisał: „Dziękuję pięknie. Zamieszczony fragment wygląda na kapitalną podstawę do założenia sprawy sądowej o ochronę dóbr osobistych. Jak zapoznam się z całością wtedy zdecyduję co dalej robić i wobec kogo ew. złożyć pozew. Na miejscu GieWu byłbym ostrożny w powielaniu bredni TW Romana” [to ma być pseudonim Malinowskiego].

Senacka komisja chce złożyć do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu wykorzystywania akt IPN do komercyjnej działalności przestępczej. ●

• **Komentarz** ► **2**

Agnieszka
Kublik

Nie ma kogo pytać o szantaż

Andrzej Malinowski, honorowy prezydent Pracodawców RP, zeznał w piątek przed nadzwyczajną komisją senacką do sprawy afery Pegasusa, że na początku 2019 r. był szantażowany przez „pana z obozu rządzącego”.

W tej opowieści wszystkie nitki prowadzą do PiS: „pan z obozu rządzącego” szantażował Malinowskiego teczką IPN, instytucji, która jest w rękach PiS, artykułem napisanym przez człowieka PiS (Woyciechowski od dawna związany był z Antonim Macierewiczem) i opublikowanym w tygodniku „Do Rzeczy”, który niemal bezwarunkowo wielbi PiS.

Malinowski wcześniej opowiedział o tym przed sądem (proces dotyczy akt IPN). Nie wiadomo, czy sąd zaczął to weryfikować.

Jeśli Malinowski opowiedział, jak było, to mamy kolejny gigantyczny skandal – po aferze Pegasusa, kiedy władza inwigilowała m.in. opozycję w czasie kampanii wyborczej – skandal, w którym władza szantażuje swoich wrogów.

Ze słów Malinowskiego można wnioskować, że istniał schemat szantażu. Gdy szantażowany nie zapłaci, ukazuje się nie tylko pomawiający go tekst, ale także zaczyna się prokuratorskie śledztwo w IPN, sprawa jest upubliczniana i daje to początek nagonce

pisowskich mediów na szantażowanego.

Mam kilka pytań.

Czy ktoś był jeszcze tak szantażowany jak Malinowski? Z jego zeznań w Senacie może wynikać, że tak. Kto? Kiedy? Czym? Przez kogo? Za ile? Uległ szantażowi czy nie? Co się z nim dziś dzieje?

Czy Woyciechowski

publikował tekst o Malinowskim na czyjeś polecenie? Czyje? Czy to jedyny taki artykuł, czy było ich więcej? Jeśli tak, to o kim jeszcze Woyciechowski miał pisać na zlecenie?

Czy tygodnik „Do Rzeczy” brał udział w tym szantażu? Jeśli tak, to czy także w innych i czy wedle tego samego „schematu”?

Czy IPN był zamieszany w tę aferę? Jeśli tak, czy to znaczy, że te czki w IPN nie są bezpieczne? Że szantażyści mogą mieć do nich dostęp?

Kto przyszedł do Malinowskiego z tą propozycją? Kim jest ów „pan z obozu rządzącego”? Kto go wysłał do Malinowskiego? A jeśli wysłał do niego, to do kogo jeszcze?

Kto i ile na tych ewentualnych szantażach zarobił?

Mam jeszcze wiele pytań, ale nie wiem, komu je zadać i od kogo żądać odpowiedzi. Bo przecież nie od Zbigniewa Ziobry, prokuratora, ministra sprawiedliwości. Myślę, że nie muszę tłumaczyć dlaczego.

Nie od jego zwierzchników – premiera Morawieckiego czy wicepremiera Kaczyńskiego. Tu też nie ma potrzeby uzasadniania.

Nie od Sejmu, PiS nie zgodzi się na powołanie komisji śledczej, bo śledztwem musieliby zostać objęci ludzie władzy.

Czyli mamy gigantyczną aferę, której najpewniej żadna państwowa instytucja nie wyświekli.

I to jest jeszcze większy problem. ●

Andrzej rysuje



Tatry Lekkomysłni turyści



FOT. ZDJEŃ NADESŁAŁA CZYTELNICZKA „WYBORCZEJ”

Mimo że termometry pod Tatrą wskazywały w sobotę 13 stopni, turyści, którzy tłumnie przybyli nad Morskie Oko, wchodzili na zamrożoną taflę jeziora. – Spacer po lodowej tafli są niedozwolone i bardzo ryzykowne – przypomina leśniczy TPN Grzegorz Bryniarski. Łódź na Morskim Oku załamała się już pod turystami w zeszłym roku. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Cytat dnia

Idziemy o krok dalej niż sankcje. Dzięki ustawie, która zamraża majątki [rosyjskich oligarchów], będziemy mieli fundusze na odbudowę Ukrainy po jej zwycięstwie



NANCY PELOSI

spikerką

Izby Reprezentantów USA podczas wczorajszej wizyty w Rzeszowie

Mino Raiola (1967-2022) Agent futbolowych gwiazd

Współpracował m.in. ze Zlatanem Ibrahimoviciem, Paulem Pogbą czy Erlingiem Haalandem. Od kilku miesięcy zmagał się z chorobą płuc.

Był jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci światowego futbolu – zarazem złowieszczy i na swój sposób rozbijający.

Gdy media zaczęły seryjnie podawać informację o jego śmierci w czwartek po południu, na jego koncie na Twitterze ukazało się zdanie: „Oto mój aktualny stan zdrowia dla wszystkich zainteresowanych: jestem wku****, drugi raz w ciągu ostatnich czterech miesięcy [media] mnie uśmiercają”. Sam pewnie tych słów nie napisał, ale było to w jego stylu. W sobotę rodzina poinformowała jednak, że 54-letni menedżer przegrał walkę z chorobą płuc.

Gdy żył – zwykle niechlujnie ubrany, w podkoszulku i bluzie z kapturem – wzbudzał strach prezów i trenerów. Sam nikogo się nie bał. Alex Ferguson nazywał go „menda”, Pep Guardiola usłyszał od Włocha, że jest „tchórzem i małym człowiekiem”. Sam zapewniał sobie milionowe prowizje od bajońskich kontraktów gwiazd.

Szefowie AC Milan próbowali ograniczyć kontakty z Raiolą do mi-



FOT. MANU FERNANDEZ / AP

nimum, Real Madryt chciał w ogóle nie musieć się z nim zadawać. Klubowi zarządcy uważali, że mają do czynienia z cwaniakiem, który nie negocjuje, lecz szantażuje, truje atmosferę w drużynie, wydobywa z piłkarzy wszystko, co najgorsze, całą ich uwagę przekierowując na pieniądze, przekonując do przedkładania interesu prywatnego nad wspólny. Ale to, co irytowało menedżerów, dla piłkarzy wybierających jego usługi było niewątpliwym atutem.

Rodzina Raioli napisała w sobotę: „Mino walczył do końca tak samo mocno jak przy stole negocjacyjnym, gdy bronił interesów swoich piłkarzy”. ●

Marek Deryło

W środę w „Wyborczej”

Mój Biznes

Zmiany w dowodach rejestracyjnych

Jak będzie wyglądał nowy dowód rejestracyjny? Jakie elementy uniemożliwią jego podrobienie? Co z dokumentami, którymi się teraz posługujemy?



FOT. ARKADIUSZ ZIOLEK / EAST NEWS

Skarbowka protestuje

Zarabiają 3,5 tys. zł na rękę, z zasadami „Polskiego ładu” zapoznają się w czasie wolnym, a za nadgodziny się im nie płaci – i to zgodnie z prawem. O trwającym proteście urzędników i urzędniczek skarbowki opowiada Agata Jagodzińska, przewodnicząca Związkowej Alternatywy w Krajowej Administracji Skarbowej.

Adriana Rozwadowska

Prawo zabrania urzędnikom i urzędniczkom skarbowym strajkować. Dlatego ci symbolicznie protestują: od wtorku 25 kwietnia do 2 maja, w gorącym okresie rozliczania deklaracji podatkowych, codziennie w samo południe odchodzą od biur i wszyscy naraz na 15 minut wychodzą na przerwę śniadaniową – przed siedziby urzędów. Żądają 20-proc. podwyżek i realizacji uchwały modernizacyjnej oraz podkreślają, że walczą nie tylko o siebie – ale też o jakość obsługi podatników i podatkniczek.

ROZMOWA Z

AGATĄ JAGODZIŃSKĄ

przewodniczącą Związkowej Alternatywy w Krajowej Administracji Skarbowej (KAS)

ADRIANA ROZWADOWSKA: Pracuje pani w skarbowce od 18 lat. Urzędy skarbowe zmieniły się w tym czasie jako pracodawca? Na gorsze czy na lepsze?

AGATA JAGODZIŃSKA: Zmieniły się bardzo. Kiedy zaczynałam, żeby dostać się do pracy, trzeba było mieć wyższe wykształcenie, najlepiej ekonomiczne lub prawnicze. Obecnie wystarczy zaledwie średnie. Wymagania są coraz niższe, bo płace w urzędach skarbowych są tak niekonkurencyjne, że ludzie nie chcą w nich pracować.

Niekonkurencyjne, czyli jakie? Z corocznego sprawozdania szefa służby cywilnej z marca br. wynika, że średnie wynagrodzenie w Krajowej Administracji Skarbowej wynosi aż 7,8 tys. zł brutto, czyli ok. 5,6 tys. zł na rękę.

– Tyle że to średnia arytmetyczna, w którą wliczane są wysokie zarobki dyrektorów, naczelników i kierowników oraz pracowników tych nielicznych działów, w których zarabia się lepiej.

Większość „szarych” pracowników urzędów skarbowych, czyli osób zajmujących się deklaracjami podatkowymi, czynnościami analitycznymi, kontrolnymi czy wierzytelnościami, zarabia w przedziale od 3 tys. do 4 tys. zł na rękę – już z uwzględnieniem wszystkich dodatków, w tym „trzynastki”.

W dużym mieście trudno za to przeżyć.

– Trudno, dlatego urzędnicy, zwłaszcza ci, którzy prowadzą gospodarstwo domowe samodzielnie, muszą dorabiać. Mam koleżankę, która pracuje w sekretariacie naczelnika urzędu. Zarabia nieco ponad 3 tys. zł. Żeby się utrzymać, zatrudniła się dodatkowo w hotelu, jest recepcjonistką.

Ustawa o służbie cywilnej zabrania nam nie tylko strajków – nie wolno nam także dorabiać, wykonując zajęcia podobne do tych w urzędzie. Stąd mamy w naszych szeregach m.in. urzędniczek, które od 7 do 15 zajmują się zeznaniami podatkowymi i wykładnią prawa, a po 15 pracują jako hostessy w supermarketach. W efekcie na drugi dzień pojawiają się w urzędzie zwyczajnie przemęczone i zasiadają do pracy przy jednym z najbardziej skomplikowanych na świecie systemów podatkowych, a od wejścia w życie „Polskiego ładu” niezrozumiałym nawet dla jego twórców.

Dlatego protestujemy: nam, urzędniczkom i urzędnikom, po prostu zależy na KAS. Wielu z nas jest z nią związanych całe zawodowe życie. Nie chcemy, żeby w naszych szeregach pracowały osoby źle wykształcone i przepra-

cowane. Chcemy godnie zarabiać i móc profesjonalnie obsługiwać podatników.

Jaka część pracowników i pracownic przystąpiła do protestu?

– W południe z systemu wylogowuje się lub wyłącza komputer 60 proc. z nas.

I jak to wpływa na pracę urzędów?

– To zależy od urzędu. W niektórych w południe przez kilkanaście minut podatników obsługuje sam naczelnik. Ale są też urzędy, których naczelnicy identyfikują się z pracownikami, schodzą na salę obsługi i osobiście tłumaczą klientom, że trwa ważny symboliczny protest, dlatego przez najbliższych 15 minut nie będą obsługiwani. Podatnicy przyjmują to zaskakująco dobrze, rozumieją, że protestujemy nie tylko dla siebie, ale też w trosce o jakość naszej pracy.

Trzy lata temu media donosiły o „sutych” podwyżkach w KAS. Mielście dostać znacznie więcej niż inni, bo rząd – szukając pieniędzy na realizację swoich obietnic wyborczych – chciał zmotywować do lepszej pracy tych, którzy ściągają pieniądze od podatników. Podwyżki więc były czy ich nie było?

– Od 2009 r. nasze wynagrodzenia były całkowicie zamrożone, a ich siła nabywcza wyłącznie spadała. W 2017 r. urzędy skarbowe wcielono do nowo powstałej KAS, w której znaleźli się także celnicy. Wtedy okazało się, że nasze zarobki tak znacznie odbiegają od wynagrodzeń celników, że otrzymaliśmy pierwszą od dekady podwyżkę.

A potem, w 2019 r., nasz ówczesny szef, a obecnie prezes Najwyższej Izby Kontroli Marian Banaś, wywalczył dla nas podwyżki, które mieliśmy otrzymać w latach 2020-22 w ramach uchwały modernizacyjnej. Z uwagi na pandemię z obiecanych 13,9 proc. podwyżki otrzymaliśmy tylko 7,9 proc., a resztę, ok. 400 zł miesięcznie, nam odebrano. Nie umiemy się z tym pogodzić, bo tylko w naszym przypadku nie zrealizowano uchwały. W eter poszła jednak informacja, że urzędnicy skarbowi wciąż coś dostają. To nieprawda. Od trzynastu lat były tylko trzy niewielkie podwyżki.

Do tego w styczniu, kiedy w życie wchodził „Polski ład” i powstał chaos związany z wypłatami dla nauczycieli, duża część z nas wzięła dodatkowe dyżury, za które obiecano nam dodatki zadaniowe w wysokości 1 tys. zł. I w tym przypadku nie dotrzymano słowa – nie wszyscy dyżurujący otrzymali dodatki, a ci, którzy je dostali, to i tak nie w pełnej wysokości. Z tysiąca zrobiło się kilkaset złotych.

Domagacie się realizacji uchwały modernizacyjnej i podwyżek o 20 proc., oferta rządu to zaledwie 4,4 proc. W marcu br. inflacja wyniosła blisko 11 proc. Nie sposób nie zapytać o coś, co podnosi obecnie wielu: owszem, wasze wynagrodzenia zjada inflacja, ale duże podwyżki będą ją napędzać.

– Kiedy mówi to ktoś, kto sam dostał podwyżkę o 40 czy 60 proc. – bo takie przyznali sobie politycy w ubiegłym roku – to jest zwyczajnie niewiarygodny. Jeśli mamy oszczędzać na budżetówce – okej, ale sprawiedliwie i na wszystkich.

Od kilku dekad słyszymy, że administracja państwowa jest przerośnięta, a wydatki na nas ogromne. To nieprawda, wszystkie dane świadczą o czymś zupełnie przeciwnym. Jeśli jest przerośnięta, jakim cudem wypracowu-



• **Agata Jagodzińska** FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

jemy setki tysięcy nadgodzin? Jesteśmy jednym z państw o najniższych w Unii Europejskiej wydatkach na administrację publiczną – przeznaczamy na nią tylko 4,2 proc. PKB.

Niedawno ukazał się raport Polskiego Instytutu Ekonomicznego o tym, jak Polacy postrzegają podatki. PIE poprosił ankietowanych, aby oszacowali, jaką część wydatków przeznaczamy na emerytury, edukację, ochronę zdrowia itd. To administrację badań wskazali jako zdecydowanie najdroższą. Strzelali, że przeznaczamy na nią 16 proc. wydatków, tymczasem w rzeczywistości jest to 6 proc. Tym samym administracja nie zajmuje pierwszego miejsca pod względem kosztów, ale przedostatnie – wyprzedza jedynie ochronę środowiska.

Którą badani także mocno przeszacowali. Myślę, że to nieprzypadkowe – prócz narzekań na koszty utrzymywania urzędników politycy spopularyzowali też myślenie o ochronie środowiska jako drogiej unijnej fanaberii. A czy pracownicy urzędów skarbowych dostali dodatkowy czas na zapoznanie się z 800 stronami „Polskiego ładu”?

– Nie, ze wszystkimi zmianami przepisów musimy się zapoznawać we własnym zakresie i w czasie wolnym. Z „Polskim ładem” radzimy sobie m.in. dzięki zamkniętym grupom na Facebooku. Prowadzę jedną z nich, mamy 20 tys. członków. Rozmawiamy tam o zmianach, tłumaczymy je sobie, pomagamy nawzajem.

Teraz sytuacja trochę się uspokoiła, bo „Polski ład” chwilowo zszedł na drugi plan – podatnicy są zajęci rozliczaniem się według starych zasad za ubiegły rok. Ale temat wróci

Mam koleżankę, która pracuje w sekretariacie naczelnika urzędu. Zarabia nieco ponad 3 tys. zł. Żeby się utrzymać, zatrudniła się dodatkowo w hotelu, jest recepcjonistką

Ostatnia chwila na rozliczenie podatków za 2021 rok

• Tylko dzisiaj, 2 maja, można jeszcze składać terminowe rozliczenie podatku PIT. Dotyczy to PIT-37, PIT-36, PIT-36L, PIT-38, PIT-39. Od kilku lat coraz więcej z nas składało rozliczenia online, tym samym ogonki w całodobowych

urzędach pocztowych tuż przed godziną zero mały.

Warto jednak pamiętać, że czekanie na ostatnią chwilę nawet z rozliczeniem elektronicznym może nas skonfrontować z przeciążeniem serwerów i innymi

problemami technicznymi. Efekt – logowanie do usługi Twój e-PIT bywało ruletką.

Jeśli nie zdążymy – urząd rozliczy nas automatycznie, wtedy jednak mogą nie zostać uwzględnione wszystkie ulgi, które nam przysługują. ●

Jak zmieniają się polskie szkoły?

Motywowować, ale nie zmu

– Polski system edukacyjny wymaga systemowych zmian. Polska już nigdy nie będzie krajem jednojęzycznym.

ROZMOWA Z
JOLANTĄ GROCHAŁĄ*
koordynatorką ds. dwujęzyczności
w szkołach

Karolina Słowik: Przez lata pracowała pani w Wielkiej Brytanii. Czym się tam pani zajmowała?

JOLANTA GROCHAŁA: Zaczynałam w Birmingham od pracy z polskimi dziećmi, które przyjechały z rodzicami do Wielkiej Brytanii. To był 2005 rok. Początkowo dzieci polskich było piętnaścioro, a pod koniec 2019 już prawie 200.

Stopniowo do grupy moich podopiecznych dołączali również uczniowie z całego niemal świata. Rzucono mnie na głęboką wodę.

Wielka Brytania jest krajem wielojęzycznym, wydawać by się więc mogło, że wsparcie dla uczniów dwujęzycznych w powszechnej edukacji jest standardem. A jednak nie. Zaczęłam zgłębiać temat. Jak oceniać takie dzieci? Jak opracować dla nich system wsparcia rozwoju emocjonalnego i intelektualnego? Jak zintegrować uczniów w grupie rówieśników? Wkrótce zaczęłam szkolić nauczycieli i dyrektorów z tej tematyki.

Co było na tych szkoleniach?

– Opowiadałam im o tym, jak to jest przyjechać do obcego kraju. Pytałam ich, czego sami oczekiwali po innych dorosłych, gdyby znaleźli się w obcym kraju. Chciałam, żeby poczuli to, co czują te uchodźcze dzieci w ich klasach. Dlatego spotkania z nimi zawsze zaczynałam od paru słów po polsku. Chciałam im też pokazać, że mogą wykorzystać ojczysty język dzieci w pracy na lekcji. Żeby uczeń miał świadomość, że on i jego pochodzenie są ważne. Że nikt jego pochodzenia nie podważa.

I mówiła pani do dzieci np. po afgańsku?

– Tak! Nie chodziło przecież o to, że zaraz pójde na kurs afgańskiego. Tylko wypowiem w klasie kilka zwrotów na głos: cześć, jak się czujesz. Takich podstaw uczyliśmy się zresztą wspólnie z całą klasą. W naszej szkole były dzieci z 35 różnych krajów. To oznacza 35 róż-



• Uczniowie LO nr 1 w Szczecinie na powitanie dzieci z Ukrainy przygotowali specjalną gazetkę ścienną FOT. CEZARY ASZKIE-ŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pierwsze sześć miesięcy to dla dziecka tzw. cichy czas. Pasywnie absorbuje język, osłuchuje się. Przetwarza każde zachowanie w klasie

nych języków. Musiałam w to włożyć pracę, ale opłaciło się. Dzieci czuły się zauważone i bezpieczne. Zaopiekowane. Czasem wystarczyło po prostu uśmiech. Bardzo ważne było też zapamiętanie imienia dziecka i poprawne jego wymawianie. Pomocne okazało się wyznaczenie też jednej osoby z klasy, takiego kumpla, który będzie przewodnikiem nowego ucznia.

Jaki był schemat działania w pani szkole?

– Najpierw zbieraliśmy informacje o dziecku: skąd jest, czy ma orzeczenie o niepełnosprawności, trudności w jakimś obszarze nauczania, na jakim poziomie są jego kompetencje języka angielskiego, jakie są jego mocne i słabe strony, jaki poziom wiedzy niezależ-

nie od znajomości języka, co lubi, a czego nie. A potem monitorowaliśmy postępy, stosując powszechny system oceniania oraz dodatkowo, równoległy, zawierający elementy edukacji dwujęzycznej oraz skalę CEFR monitorującą rozwój językowy ucznia.

Jak pani witała takiego ucznia w klasie?

– Dzień albo dwa dni wcześniej, przed rozpoczęciem zajęć, zapraszałam go do szkoły z rodzicem. Oprowadzałam i opowiadałam, jeśli trzeba, to z tłumaczem. Tworzyłam dla nich broszurki, w których z pomocą tłumacza pisałam w ich języku najważniejsze informacje o szkole: o której zaczyna zajęcia, jakie przedmioty będzie miał, kto będzie jego nauczycielem, kto asystentem. Wklejałam nawet ich zdjęcia. Kopiowałam menu ze stołówki. Uczyłam się, kto czego nie może jeść, na jakiej jest diecie. Czasem słyszę od polskich nauczycieli, że nie mają czasu, że przecież mają też inne dzieci w klasie. Odpowiadałam im, że ja też miałam inne dzieci. Po trzydziścioro w klasie. I polowę z innych krajów. Da się. Tylko potrzeba empatii. Empatia jest w sumie najważniejsza.

Przyjmowaliśmy, że pierwsze sześć miesięcy to dla dziecka tzw. cichy czas. W tym okresie pasywnie absorbuje język, z czasem coraz więcej rozumie, osłuchuje się. Oni absorbują każde nasze słowo. Przetwarzają każde zachowanie w klasie. W tym czasie w Wielkiej Brytanii nie zaleca się zmuszać ucznia do wypowiadania się na forum klasy, a tym bardziej do traumatycznego odpowiadania przy tablicy, szczególnie w sytuacji zerowej lub podstawowej znajomości języka angielskiego jako obcego. Co równie ważne, przez pierwszy rok tacy uczniowie są zwolnieni z jakichkolwiek testów.

Jak pracować ze strauumatyzowanym dzieckiem?

– Nigdy nie zmuszać do mówienia o trudnych przeżyciach. Ani do pięknego pisania w zeszyciku. W ogóle do niczego nie zmuszać, bo to prowadzi do odwrotnych skutków. Takie dziecko nic nie musi. Najważniejsze, że jest bezpieczne. I ja mu okazuję to uśmiechem, mową ciała. Wystarczy zapytać, czy wszystko OK, wystarczy podniesiony kciuk. Gdy zrobi się źle, to można przytulić. Jeśli się wystraszy,

schowa się pod ławką, to trzeba pozwolić mu na to. To jego system obronny. Jak się da, to wyprowadzić go z klasy z odosobnione miejsce, towarzyszyć mu. Po prostu być obok. Potem, jak emocje opadną, porozmawiać z klasą o tym, co zaszło. Nigdy nie zostawiać bez komentarza trudnych momentów. No i chwalić! Często chwalić!

Nauczyciel powinien się skupić na emocjonalnym rozwoju ucznia, który ciągnie za sobą rozwój intelektualny. Uczeń odpowiednio zmotywowany będzie rozumiał coraz więcej.

Jak odpowiednio motywować dziecko uchodźcze, nie pozostawiając samym sobie uczniów polskich?

– Ważną rzeczą jest praca w małych grupach. W naszych realiach wydaje się to nie do osiągnięcia, ale dziecko uchodźcze w 30-osobowej klasie po prostu zniknie. Będzie obecne fizycznie, ale pozostanie niezauważone, pominięte. Sama jestem mamą dziecka dwujęzycznego. Wróciliśmy do Polski w 2019 roku, po niemalże 16 latach intensywnego pobytu; mam na myśli drogę edukacyjno-służbową: pracę w szkole, studia oraz wiele przebytych szkoleń, więc mogę powiedzieć, co w naszym systemie działa, a co nie. Dla mojej córki i wielu innych dzieci powracających do Polski i polskiego systemu edukacyjnego z Wielkiej Brytanii pierwszym językiem jest angielski.

Byliśmy rozczarowani, gdy dla polskich nauczycieli było to niezrozumiałe. „Skoro ma polskich rodziców, to sobie poradzi” – słyszeliśmy. Było jej bardzo ciężko. Niestety, system edukacji w Polsce jest na etapie budowania świadomości w sferze edukacji dwujęzycznej. Kadra nauczycielska powinna jednak wykazać się empatią, zrozumieniem, że dziecko wyszło z innej kultury, innego systemu i przeżywa szok kulturowy, a język polski zna w stopniu komunikatywnym.

Uczulam wszystkich nauczycieli, by nie demotywowali dziecka w obcym dla niego kraju. Moja córka miała wiedzę z poszczególnych przedmiotów, ale nie umiała jej wyrazić w języku polskim, bo po prostu wstydziła się odezwać. Bała się też, że będzie oceniana, że ktoś będzie naśmiewał się z jej akcentu. Ten uraz ma do tej pory.

Nowi uczniowie z Ukrainy

Niemal 200 tysięcy uchodźców wybrało polskie szkoły

Zgodnie z danymi Ministerstwa Edukacji i Nauki w polskich szkołach jest już ponad 192 tys. ukraińskich uczniów. Najwięcej na Mazowszu – 35 tys., na Śląsku – 21 tys., na Dolnym Śląsku – prawie 20 tys. Znaczna większość – bo 140 tys. – została przyjęta do szkół podstawowych. Ponad 36 tys. do przedszkoli i 12 tys. do szkół średnich.

Aż 540 tys. Ukraińców w wieku szkolnym, którzy przebywają w Polsce, zdecy-

dowało się na naukę online w rodzimym systemie.

Ok. 90 proc. ukraińskich uczniów uczy się w klasach ogólnych, a zaledwie 10 proc. w klasach przygotowawczych. Brakuje asystentów międzykulturowych. Dyrektorzy szkół mogą zatrudniać ukraińskich nauczycieli na stanowisku asystentów, ale do pracy zgłosiło się zaledwie 3,5 tys. Polscy nauczyciele nie są przeszkoleni do pracy z dziećmi uchodźczymi, nie mają

narzędzi do pracy z osobami z traumą wojenną. Działają intuicyjnie, a zamiast korzystać ze wsparcia asystentów językowych, posługują się translatorami na komórkach.

Dyrektorzy z kolei nie wiedzą, jak planować pracę z ukraińskimi dziećmi. Czy np. podczas wakacji będą mogli organizować im kursy językowe? Nie mają też przepisów dotyczących rekrutacji uchodźców do szkół średnich. ● **karslo**

Jak zmieniają się polskie szkoły?

szuć

Po brexicie do Polski wróciło 17 tys. dzieci z Wielkiej Brytanii. Powinny mieć do pięciu godzin tygodniowo zajęć wyrównawczych, opiekę pedagoga.

– Z moich badań wynika, że samorządy organizowały takie zajęcia w wymiarze do dwóch-trzech godzin tygodniowo. Polska jeszcze przed kryzysem humanitarnym nie zdawała egzaminu z przyjmowania dzieci obcojęzycznych. Teraz, w obliczu przybycia do kraju ponad pół miliona ukraińskich dzieci w wieku szkolnym, rząd nie może nie zauważać problemu. Musi działać i działa, ale te działania są niewystarczające.

Co Ministerstwo Edukacji powinno zapewnić szkołom, by mogły działać sprawnie?

– Być może najważniejszym elementem jest szkolenie nauczycieli. Nasi nauczyciele nie mają obowiązkowych szkoleń, nie zapisują się też na te darmowe i dobrowolne. Wiem, bo je prowadzę. Dlatego uważam, że ministerstwo powinno wprowadzić obowiązek szkoleń dla dobra nauczycieli, a przede wszystkim samych dzieci emigrujących do Polski. W Wielkiej Brytanii to było oczywiste. Trzy-cztery razy w roku zamykano szkołę na cały dzień i kadra przechodziła szkolenie we własnym gronie.

Szkolenia dotyczyły różnych tematów, które akurat nurtowały daną społeczność szkolną. Nie odbywały się po godzinach, traktowano je jako zwykły, odpłatny dzień pracy. Nie kazano poszczególnym nauczycielom jeździć po kraju i zapisywać się samodzielnie na warsztaty niezwiązane z ich rzeczywistością.

Uważam, że moglibyśmy zaszczyć u nas takie szkolenia, jakie są w Wielkiej Brytanii. Cała kadra pracuje wtedy razem: wie, jakie ma potrzeby, jakie wyzwania, jakie zasoby i nad czym musi pracować.

Co pani mówi nauczycielom na swoich szkoleniach?

– Że powinni wytypować wśród siebie koordynatora, który będzie odpowiadać za uczniów dwujęzycznych, tych z Ukrainy również, w całej szkole. Do jego zadań powinno należeć planowanie wspólnych lekcji i osobnych zajęć, tylko dla emigrantów lub uchodźców. Taki koordynator oraz nauczyciele przedmiotowi powinni mieć do dyspozycji asystenta językowego lub międzykulturowego, bo sami mogą nie podolać.

Powinni dążyć do tego, by aktywizować np. ukraińskich uczniów na swoich lekcjach. Na przykład prowadząc lekcje z ukraińskimi dziećmi, prowadzili na ten sam temat, tylko w uproszczony sposób, czy to w przestrzeni całej klasy, czy w małych grupach. Uczniowie ci powinni mieć również możliwość wykazania się swoją wiedzą w ich języku ojczystym. Ważne też, by dyrektorzy dbali o docenianie samych nauczycieli. Oni też potrzebują motywacji. ●



***Jolanta Grochala** jest koordynatorką ds. dwujęzyczności, nauczycielką i lektorką z 16-letnim stażem pracy z dziećmi dwujęzycznymi, również z traumą wojenną, w Wielkiej Brytanii. Jest założycielką stowarzyszenia Dwujęzyczna Polska, które organizuje warsztaty i kursy dla nauczycieli

Poradnik dla dorosłych

Co jest najważniejsze dla ucznia po traumie?

Mów do dziecka, patrząc mu w oczy. Kucnij lub usiądź, żeby dostosować swój wzrost do jego wzrostu. Zadawaj proste i otwarte pytania, na które dziecko zna odpowiedź, np.: „Co lubisz robić?”. Zamiast: „Dlaczego?”, pytaj: „W jaki sposób?”, „Co się wydarzyło?”.

Traktuj dziecko poważnie. Uważnie go słuchaj, nie przerywaj. Staraj się je dobrze zrozumieć i okaż mu to: „Domyślam się, co czujesz”, „Rozumiem, że to dla ciebie trudne”. Daj dziecku czas na odpowiedź i zaakceptuj, gdy dziecko nie potrafi jej udzielić. Nazywaj emocje: „Wyobrażam sobie, że możesz odczuwać strach w sytuacji, gdy...”, „Rozumiem, że ta sytuacja wywołuje złość”, „Widzę, że jesteś smutny”.

Nie pytaj o szczegóły trudnych doświadczeń. Nie bagatelizuj obaw dzieci. Jeśli dziecko zada pytanie ekstremalne, np.: „Czy my zginie-my?”, „Czy wojna będzie w Polsce?”, zapewnij je, że tu i teraz jesteście bezpieczni i władze państwa robią wszystko, aby się tak nie stało. Pamiętaj, aby przywracać bezpieczeństwo, ale nie dawaj nierealistycznych obietnic. „Nie wiem” czasami jest jedyną właściwą odpowiedzią.

Panika na dźwięk dzwonka. Co robić?

To tylko kilka wskazówek, jak rozmawiać z dziećmi o wojnie, z poradnika „Dziecko pod wpływem traumy” skierowanego do nauczycieli, psychologów i pedagogów. We współpracy z UNICEF Polska opracowała je psychotraumatolożka dr Ewa Odachowska-Rogalska, kierowniczka Zakładu Psychologii Klinicznej Dzieci i Młodzieży w Akademii Pedagogiki Specjalnej im. M. Grzegorzewskiej w Warszawie.

Poradnik, scenariusze lekcji, nagrane na wideo wywiady z psycholożką to podpowiedź dla nauczycieli, jak pomóc dzieciom w traumie. Przede wszystkim dzieciom z Ukrainy, których w polskich szkołach jest już ponad 190 tys. W Polsce nauczyciele nie są szkoleni do pracy z dziećmi uchodźczymi, co np. w Niemczech jest standardem.

– Zdarzają się szkoły, szczególnie te położone blisko lotniska, w których dzieci na dźwięk startującego samolotu chowają się pod ławkę. W innych nauczyciele obserwują ataki paniki na dźwięk szkolnego dzwonka. To,



• **Plakat wykonany przez uczniów SP nr 29 we Wrocławiu** FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pamiętaj, aby przywracać bezpieczeństwo, ale nie dawaj nierealistycznych obietnic – to jedna z rad UNICEF-u dla dorosłych pracujących z uczniami, którzy uciekli przed wojną

jak nauczyciel zareaguje w takiej sytuacji, jest kluczowe. To bardzo ważne, żeby szkoła stała się dla nich miejscem bezpiecznym. A opiekunowie sprawili, by dziecko poczuło, że świat się nie kończy, a życie nadal trwa – mówi dr Odachowska-Rogalska. Jak to osiągnąć?

Bardzo ważny, jak podkreśla dr Odachowska-Rogalska, jest jasny i przewidywalny plan dnia w szkole. Identyfikacja z miejscem: stałe miejsce w tej samej ławce, przydzielona szafka. Wyznaczenie osoby dorosłej, do której dzieci mogą się zwrócić w razie potrzeby. Podkreślanie, że dziecko jest bezpieczne i zawsze może przyjść po pomoc. Ważna jest też opanowana i empatyczna postawa nauczyciela, który nie będzie obwiniał dziecka za jego trudne zachowanie. Niekiedy dzieci będą potrzebowały bliskości rodzica lub opiekuna, szkoła musi być gotowa także i na to.

Psychotraumatolożka podkreśla też, że ważne, by przygotować pozostałych uczniów. Uczulić ich, by nie pyptali o trudne doświadczenia, byli wyrozumiali. – Również na-

uczyciele, pedagodzy czy psychologowie, jako pomagający, powinni pamiętać, by zadbać o siebie i swoje zasoby, by mogli odnaleźć w sobie siłę i empatię w pracy ze strauumatyzowanymi dziećmi – zaznacza dr Odachowska-Rogalska.

Co siódme dziecko potrzebuje pomocy

Materiały zostały przygotowane przez UNICEF w ramach projektu „eMOCje w GŁOWIE”. Celem projektu jest uświadamianie, jak ważna jest profilaktyka zdrowia psychicznego u młodych osób. – Jedno na siedmioro dzieci na świecie potrzebuje profesjonalnej opieki psychologicznej lub psychiatrycznej. W Polsce wymaga jej ok. 630 tys. dzieci i młodzieży. Im wcześniej zaczniemy pomagać im rozpoznawać trudne emocje i radzić sobie z nimi, tym lepiej będą sobie radzić w rozwiązywaniu problemów, utrzymywaniu zdrowych relacji, komunikowaniu swoich potrzeb i podejmowaniu decyzji, które sprzyjają zachowaniu dobrego samopoczucia – mówi Małgorzata Połowniak-Dąbrowska, menedżerka projektów edukacyjnych w UNICEF Polska.

I podkreśla, że to szczególnie ważne po doświadczeniu izolacji w pandemii oraz podczas wojny toczącej się tuż za naszą granicą. – Zależy nam, żeby dotrzeć do nauczycieli, bo to szkoła jest drugim głównym środowiskiem, w którym młodzi się rozwijają, spotykają z rówieśnikami, zdobywają wiedzę o świecie. Bardzo ważne, żeby było to dla nich bezpieczne i przyjazne środowisko – podkreśla.

UNICEF podpowiada, jak można wesprzeć uczniów:

- zorganizować dla nich spotkanie z psychologiem albo pedagogiem szkolnym. Można zaprosić też specjalistę z zewnątrz;
- przeprowadzić zajęcia dla uczniów w wieku 10-14 lat według materiałów UNICEF Polska;
- zrobić zebranie rodziców poświęcone profilaktyce zdrowia psychicznego, odtworzyć jeden z wywiadów z psycholożką, nagranych w ramach akcji „eMOCje w GŁOWIE”. ●

Karolina Słowik

Więcej o projekcie można się dowiedzieć na stronie UNICEF-u: <https://unicef.pl/wspolpraca/wspolpraca-z-placowkami-edukacyjnymi/akcje-edukacyjne/emocje-w-glowie>.

Kiedy czas leniwie płynie... poznaj historie, których nie da się zapomnieć

Najlepsze reportaże czytaj na wyborcza.pl/historie



Rys. Joanna Rusinek

Wojna w Ukrainie

Rosji została tylko pięść

Moskwa wojuje nie o Ukrainę, lecz o swoją coraz bardziej zagrożoną pozycję wśród potęg światowych.
To nie szaleństwo, lecz twarda logika Putina

Radziwiłowicz



Gdyby dziś skończyły się rządy pana Kremla, ich bilans wypadłby fatalnie. Jego kraj nieuchronnie traci dystans do świata. Kiedy Władimir Putin zaczął rządzić, wkład Rosji w wytwarzanie światowego PKB wynosił (według siły nabywczej) 3,05 proc. Potem dzięki szalonemu potokowi petrodolarów doszedł (w 2008 r.) do 3,68 proc.

I to było maksimum. A w ubiegłym roku, jak ocenia Międzynarodowy Fundusz Walutowy, jeszcze przed wojną i sankcjami, Rosja zjechała do poziomu, z którego Putin 22 lata temu startował. Przy tym aktualna prognoza stawiana przez MFW Moskwie jest ponura. PKB Rosji (i to pod warunkiem, że Zachód nie wprowadzi skutecznego embarga na jej gaz, a objętą sankcjami ropę Rosjanom za dobrą cenę uda się szybko ulokować na innych rynkach), zmniejszy się w tym roku o 8,5 proc.

Kraj Putina straci więc swoje szóste miejsce wśród światowych potęg gospodarczych, i to na rzecz Indonezji. A jego przywódca obiecywał przecież narodowi, że w najbliższych latach Rosja przeskoczy Niemcy i ulokuje się na miejscu piątym na liście wielkich państw.

Strefa wpływów topnieje. Z takim wianem Moskwa może się żegnać z marzeniami o graniu pierwszych skrzypiec czy choćby o udziale w koncercie mocarstw, które miałyby, jak to planował i ogłaszał Putin, ustanowić nowy porządek świata i pokojowo podzielić między siebie strefy wpływów.

A i potencjalna „strefa” wpływów Federacji Rosyjskiej stale topnieje. Z trudem udało się Kremlowi utrzymać na swojej orbicie dążącą do niezależności Białoruś. Przy tym kosztuje to Rosjan dużo, bo przyszło im wziąć na utrzymanie sąsiednie państwo.

W Azji Środkowej Rosja traci swych tradycyjnych klientów na rzecz ambitnej Turcji i potężnych Chin.

W walce o Gruzję, a tym bardziej Ukrainę, Moskwa ostatecznie wyczerpała swe możliwości ekonomiczne i polityczne.

Najpierw się nie udał i skończył blamażem eksperyment z Wiktorem Janukowiczem, którego Putin całym swym autorytetem, mocą wielomiliardowych kredytów, korzystnych kontraktów wciskał Ukraincom.

Potem nic nie dały wysiłki zmierzające do zdestabilizowania sąsiedniego kraju poprzez wmontowanie w jego organizm złośliwego nowotworu w postaci „ludowych republik” w Donbasie i stałe przez osiem lat utrzymywanie tam na wolnym ogniu ograniczonego konfliktu wojenne-



go. To w zamyśle Kremla miało doprowadzić do chaosu w całej Ukrainie, buntu mas, a w efekcie – mniej czy bardziej demokratycznego odsunięcia prozachodnich władz w Kijowie i zastąpienia ich ludźmi „rozsądnymi” z punktu widzenia Moskwy, a mówiąc wprost – jej namiestnikami, choćby tym samym odkurzonym i doprowadzonym do stanu trzeźwości Janukowiczem.

Zamiast tego Putin otrzymał zaskakująco mocną Ukrainę. Krępką nie tyle nawet w sensie militarnym, ile sprawności państwa, w którym dziś mimo potężnej agresji i ogromnych zniszczeń działają administracja, infrastruktura, służby komunalne. Pociągi wciąż kursują, zbombardowane mosty, drogi są szybko naprawiane, a nawet w systematycznie niszczonej Charkowie wywozi się śmieci.

Okno możliwości może się zamknąć.

Moje wieloletnie obserwacje życia w Rosji przekonują, że gdyby na ten kraj spadł taki cios jak na Ukrainę, wszystko by się tam rozsypało. Porządek dałoby się przywrócić tylko drańskimi represjami. Widać to zresztą po bałaganie panującym w armii, która przecież na front wysłała swoje najlepsze jednostki.



Moje wieloletnie obserwacje życia w Rosji przekonują, że gdyby na ten kraj spadł taki cios jak na Ukrainę, wszystko by się tam rozsypało

• **Władimir Putin na Kremlu**

FOT. ALEXANDER ZEMLIANICHENKO / AP

Polityczna walka o miejsce w światowej czołówce państw – a to leży na sercu nie tylko lokatorom Kremla, ale też zwykłym Rosjanom – nic nie dała. Nie pomogły także bardzo kosztowna interwencja militarna w Syrii i wkład Moskwy w walkę z ISIS, celem których miała być, co planował Putin, zgoda Zachodu na oddanie Rosji Ukrainy.

W tej rozpaczliwej już nie tylko dla rządzących sytuacji do obrony potęgi ich kraju zostało tylko jedno – siła militarna.

Bo, jak wierzy, a przynajmniej wmawia światu Putin, Moskwie udało się zdobyć potencjalną wojskową przewagę nad zachodnimi konkurentami. Góruje nad nimi ponoć swoją „niemającą odpowiedników w świecie” bronią hipersoniczną. Ma większy od amerykańskiego arsenału jądrowy. A kiedy, co ma nastąpić jeszcze w tym roku, do uzbrojenia strategicznych sił raketowych wejdzie nowa rakietą Sarmat, będzie mieć lepsze środki jego przenoszenia. Armia USA zaś będzie jeszcze pięć lat czekać na zamiar swoich przestarzałych minutematorów na nowe rakiety Sentinel.

Czy wojskowa przewaga Rosji nad Stanami Zjednoczonymi jest realna, czy rzekoma, sprawdzić można by jedynie w wyniku prawdziwej wojny. A więc lepiej nie. W Moskwie jednak uważają, że nie jest ona dana Rosjanom na zawsze. Konkurenci nie śpią i nadrabiają dystans. Okno możliwości może się szybko zamknąć.

Putin obiecywał złote góry. Wojna stała się więc z punktu widzenia Kremla jedynym logicznym w aktualnej sytuacji wyjściem.

Sam Putin musi sobie zdawać sprawę z tego, że to przez niego Rosja znalazła się w sytuacji, w której bez wojny – jak bez „wodki” – nie „razbieriesz”. On zmarnował najbardziej w historii przychylny rozwojowi swego kraju czas. Kiedy zaczynał rządzić, sytuacja międzynarodowa, gospodarcza bardzo sprzyjała Rosji.

On sam rozumiał, jaką ma historyczną szansę. Kiedy 31 grudnia 1999 r. Borys Jelcyń oddawał mu Kreml, Putin opublikował manifest, w którym obiecywał poddanym, że w ciągu dziesięciu lat Rosja stanie się co najmniej piątą potęgą gospodarczą świata, a jej obywatele będą żyli lepiej niż Portugalczycy.

Dziś lepiej żyją tylko dolarowi miliarderzy, których Rosja w 1999 r. w ogóle nie miała, a przy Putinie dorobiła się 102. Średnia pensja rosyjska (przy porównywalnej sile nabywczej) jest dwa razy niższa, a emerytura – trzy razy niższa od portugalskiej.

Pod rządami Putina Rosja straciła prawo do tej wysokiej pozycji w świecie, do jakiej pretenduje, jaką uważa za siebie godną. Została jej pięść. ●

Wacław Radziwiłowicz

Humanitarna misja papieża

Papież Franciszek kilkakrotnie próbował skłonić Putina do wypuszczenia ludzi z Mariupola. Bezskuteczne misje Watykanu opisuje włoska prasa.

Bartosz Hlebowicz

FLORENCJA

Mariupol oblegany jest przez Rosjan od początku inwazji. W ostatnich tygodniach podziemia kombinatu metalurgicznego Azowstal stały się ostatnim schronieniem około tysiąca wojskowych i cywili (w tym dzieci), pozbawionych wody pitnej.

Jak informują rzymski dziennik „Messaggero” oraz tygodnik „L’Espresso”, Watykan trzykrotnie próbował wynegocjować z Rosjanami wyjście osaczonych, ale za każdym razem spotkał się z odmowną odpowiedzią.

Rosjanie nie dali nam żadnych gwarancji. Byliśmy bardzo sfrustrowani – stwierdził abp Visvaldas Kulbokas, nuncjusz watykański w Kijowie, którego relację przytacza „Messaggero”.

Pochodzący z Litwy hierarcha i dyplomata watykański 10 lat temu pracował w nuncjaturze w Moskwie, uczestniczył też – jako tłumacz – w jedynym dotąd spotkaniu między papieżem Franciszkiem a patriarchą moskiewskim Cyrylem w lutym 2016 r. w Hawanie. Wtedy właśnie po raz pierwszy obaj hierarchowie wydali oświadczenie, w którym zadeklarowali wspólną pracę na rzecz pokoju w Donbasie.

Rosjanie nie wstrzymali ognia

Współpraca z głową Kościoła rosyjskiego miała dać szansę na powodzenie akcji dyplomacji watykańskiej. Cyryl słusznie postrzegany jest jako sojusznik Putina, w przemówieniu na początku marca pochwalił „wojnę metafizyczną” Putina przeciwko grzesznemu Zachodowi. Jednak 16 marca w czasie wideokonferencji z Franciszkiem nazwał wojnę „niesprawiedliwą”, zapewnił o zaangażowaniu swojego Kościoła w „sprawy humanitarne” oraz – o czym dowiadujemy się te-

raz – zgodził się osobiście wziąć udział w konwoju do Mariupola. To była pierwsza próba wyprowadzenia ludzi z podziemi Azowstalu, które stały się dla nich pułapką.

Konwój miał wyruszyć 27 marca. Przekaz był taki: Kościół katolicki i Cerkiew prawosławna ramię w ramię pracują dla pokoju i ratują życie ludzkie.

W ostatniej chwili – obie gazety relacjonują opowieść Kulbokasa – „coś poszło nie tak i rosyjskie dowództwo wojskowe zareagowało negatywnie”. Nie wstrzymano ognia, nie pozwolono na wejście karawany do Mariupola.

– Porażka, ból. To olbrzymie koszty, których nie jesteśmy w stanie zmierzyć – opowiada Kulbokas, cytowany w „L’Espresso”. – Chodzi o życia ludzkie, których nie zdołaliśmy ocalić przed kulami. To frustrujące, gdy nie można spełnić błagań tych, którzy mają wkrótce umrzeć. Bardzo trudno coś takiego zaakceptować.

Tajna misja kard. Krajewskiego

Drugą próbę podjęto w okolicach Wielkanocy. W imieniu papieża działał jego najbardziej zaufany współpracownik kard. Konrad Krajewski, którego Franciszek niejednokrotnie wysyłał już na misje humanitarne. W przeddzień Wielkanocy papież wysłał kardynała do Ukrainy już po raz trzeci. Krajewski miał do przeprowadzenia dwie operacje: oficjalną – publiczną – oraz poufną.

W ramach tej pierwszej dostarczył do Kijowa karetkę. Ten dar



• **Watykan, 24 kwietnia 2022 r. Papież Franciszek podczas mszy w intencji Bożego Miłosierdzia w bazylice św. Piotra** FOT. ANDREW MEDICINI / AP

z Watykanu dla kijowskich szpitali prowadził sam przez całą drogę z Włoch do Ukrainy, przejeżdżając m.in. przez Polskę. Potem modlił się w ruinach Borodzianki, Irpinia, Worzela i Buczy. I pozostał przez jakiś czas w Ukrainie, by – jak podaje „L’Espresso” – wykonać tę część misji, o której nie informowano wówczas oficjalnie. W tym czasie bezskutecznie starał się uzyskać od Rosjan zgodę na wejście do huty Azowstal i wyprowadzenie stamtąd uwięzionych cywilów. Także i tym razem władze rosyjskie – uzupełnia relację „Messaggero” – zwlekały z udzieleniem zgody, a następnie poinformowały, że nie zagwarantują mu bezpieczeństwa.

Do trzeciej próby, jak podaje rzymska gazeta, miało dojść w zeszłym tygodniu – przez kilka dni negocjowany był pomysł Watykanu, aby uwięzionych w zlokalizowanej w porcie stalowni Azow ostatnich mieszkańców Mariupola przewieźć statkiem pod banderą Waty-

kanu. Ale i tego zamysłu nie udało się przeprowadzić na skutek braku zgody Rosjan.

Watykan działał w porozumieniu z Zełenskim

„L’Espresso” więcej miejsca poświęca kulisom wydarzeń i działaniom watykańskiej dyplomacji. Watykan miał działać w porozumieniu z Kijowem i na prośbę prezydenta Zełenskiego, który postrzega (a w każdym razie tak było jeszcze w marcu) Watykan jako kanał umożliwiający wpłynięcie na Cyryla, a przez niego – na Putina. Efektem interwencji Watykanu, o którą prosił Kijów, były ewakuacje domów dziecka w Worzelu i Chersoniu w dniach 9-10 marca. Uratowano wtedy, jak podaje „L’Espresso”, kilkadziesiąt noworodków. Na prośbę władz ukraińskich to właśnie Watykan wstawił się u rosyjskich generałów, doprowadzając do wstrzymania ognia.

Tygodnik tak relacjonuje kulisy działań Stolicy Apostolskiej: 22 marca ambasada ukraińska w Watykanie poinformowała, że prezydent Ukrainy otrzymał „obiecujący” telefon od papieża, potem nastąpiły kolejne, utrzymywane w tajemnicy. Zdaniem „L’Espresso” telefon z 22 marca był także sygnałem dla świata, że Watykan wspiera „dumny opór ukraiński”.

22 marca Zełenski i Franciszek rozmawiali o pokoju i o tym, jak ratować ludzi próbujących uciec z Ukrainy. Zaraz potem pojawił się pierwszy projekt próby wyprowadzenia korytarzem humanitarnym ludzi ukrywających się w podziemiach Azowstalu. Kard. Pietro Parolin, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej (odpowiednik ministerstwa spraw zagranicznych), nakazał nuncjaturze w Kijowie jak najszybciej opracować plan uwolnienia 2,5 tys. cywilów przed rzezią z rąk Rosjan. Nuncjatura watykańska w Kijowie była jedną z niewielu ambasad, które nigdy nie opuściły stolicy Ukrainy.

Plan obejmował zorganizowanie co najmniej 50 autokarów i jak najszybszy wjazd konwoju do Mariupola. Kard. Parolin omawiał ten projekt z Andriem Jermakiem, szefem sztabu Zełenskiego. Nuncjusz Kulbokas równolegle ustalał szczegóły z wicepremier Ukrainy Iryną Wereszczuk. Wstępny projekt przewidywał, że misję do Mariupola poprowadzą wspólnie biskupi katolicki i prawosławny. Ze strony Rzymu akcją kierować miał biskup diecezji charkowsko-zaporoskiej Pawło Honczaruk. Władze lokalne Zaporozia przygotowały paczki żywnościowe, pomoc medyczną i schronienie na noc.

– W tym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że poziom ten jest niewystarczający, aby przekonać rosyjskich wojskowych – opowiada Kulbokas. Dlatego Watykan zwrócił się bezpośrednio do patriarchatu moskiewskiego. Jak się okazało, również gotowość współpracy ze strony Cyryla była niewystarczająca.

Watykan nie rezygnuje

Watykan zapowiada, że nie zamierza rezygnować z wysiłków na rzecz pokoju i ochrony cywilów. Niedługo do Kijowa ma przyjechać abp Paul Richard Gallagher odpowiadający za relacje z państwami w Sekretariacie Stolicy Apostolskiej.

W sobotę z Mariupola nadeszła informacja, że Rosjanie pozwolili wyjść spod gruzów Azowstalu grupce 20 kobiet i dzieci. ●

Rosjanie łupią ukraińskie muzea

Ukraińcy usiłowali ukryć najcenniejsze eksponaty, ale w Mariupolu i Melitopolu najeźdźcy dotarli do tajnych skrytek. Obrazy wywieźli do Doniecka, los złota Scytów nie jest jasny.

Rada miasta Mariupola poinformowała, że od początku inwazji siły rosyjskie najechały trzy lokalne muzea, w tym Muzeum Sztuki Kuindziego, XIX-wiecznego malarza greckiego pochodzenia, który żył w tym mieście. Jeden z jego obrazów dom aukcyjny Sotheby’s sprzedał za 3 mln dolarów. „Okupanci »wyzwolili« Mariupol z jego dziedzictwa historycznego i kulturowego – napisała rada miejska. – Ukradli i przeniesli ponad 2 tys. unikatowych eksponatów do Doniecka”.

W tym tygodniu dyrektorka innego mariupolskiego muzeum, Hi-

storii Lokalnej – wydała schowane dzieła Rosjanom. „Natalia Kapustnikowa, która знаła dokładne miejsce tajnego przechowywania arcydzieł, osobiście przekazała im wszystko do rąk” – napisał na Telegramie Petro Andriuszczenko z biura burmistrza Mariupola.

Według rosyjskich mediów pracownicy muzeum „ocalili” obrazy przed zniszczeniem przez ukraińskich bojowników.

Rada miasta Mariupola poinformowała, że przygotowuje materiały dla organów ścigania, aby można było wszcząć postępowanie karne przeciwko rabusiom, również z pomocą Interpolu.

Jeszcze większą stratę poniosło muzeum w Melitopolu. Jak opisuje „New York Times”, to eleganci, trzypiętrowy, kamienny budynek w starej części miasta, w którym znajduje się 50 tys. ekspona-

tów, od medali z czasów sowieckich po stare topory bojowe. Najcenniejszą kolekcją był zestaw złotych ozdób Scytów – koczowniczego ludu, który miał imperium na Półwyspie Krymskim od VIII wieku p.n.e. do II wieku n.e.

Według dyrektorki Leili Ibrahimowej zaraz po rosyjskiej inwazji personel umieścił historyczne artefakty w kartonowych pudłach i przeniósł do piwnicy, o której istnieniu mało kto wiedział.

W marcu Melitopol znalazł się pod rosyjską okupacją. Rosjanie wdarli się do domu Ibrahimowej, zarzucili jej worek na głowę i uprowadzili ją. Po kilku godzinach intensywnego przesłuchania dyrektorka odzyskała wolność. Dwa tygodnie później wyjechała na teren poza kontrolą Rosji. Ale w środę otrzymała telefon od dozorczyni muzeum, która powiedziała, że

rosyjscy żołnierze wraz z oficerami wywiadu i mężczyzną w białym fartuchu laboratoryjnym przyszli rano do jej domu. Pod groźbą użycia broni kazali iść z nimi do muzeum i pokazać, gdzie jest scytyjskie złoto.

Dozorczyni odmówiła. Ale Rosjanie i tak znaleźli pudła z pomocą Ukraińca Jewgienija Gorlaczowa

Ukraina od lat toczy spór z Rosją o zbiory scytyjskiego złota, które kilka muzeów na Krymie wypożyczyło muzeum w Amsterdamie

wa, mianowanego przez nich nowym dyrektorem muzeum. Sfilowali, jak zabierają złoto: mężczyzna w fartuchu i rękawiczkach za pomocą pęsety wydobywa z kartonów dziesiątki złotych artefaktów sprzed ponad 2,3 tys. lat.

Ukraina od lat toczy spór z Rosją o zbiory scytyjskiego złota, które kilka muzeów na Krymie wypożyczyło muzeum w Amsterdamie. Po zajęciu Krymu przez Rosję w 2014 r. Moskwa zażądała ich zwrotu, a Kijów poprosił Holendrów, by tego nie robili. Sąd orzekł na korzyść Ukrainy, złoto pozostało w Amsterdamie.

W sobotę ukraińscy urzędnicy poinformowali, że w całym kraju ponad 250 instytucji kulturalnych zostało uszkodzonych lub zniszczonych. ●

Robert Stefanicki

Paraliż sądu w Katowicach

Kolegium Sądu Okręgowego w Sosnowcu zdecydowało, że karniści, którzy przeszli tam do pracy, nie będą musieli kończyć 150 spraw pozostawionych w Katowicach. **Wszystkie trzeba teraz rozpocząć od nowa.**

Marcin Pietraszewski

Sąd Okręgowy w Sosnowcu otwarto 1 kwietnia z wielką pompą. Resort sprawiedliwości jako jeden z powodów jego utworzenia podał petycję złożoną przez mieszkańca miasta. Uznał on, że Sosnowiec zasługuje na sąd takiej rangi.

• **Zbigniew Ziobro i Bogdan Święczkowski**

FOT. JAKUB KAMINSKI/
EAST NEWS



„Watykan sprawiedliwości”

W środowisku prawniczym mówi się jednak, że nowy sąd powstał po to, aby zaspokoić ambicje pochodzącego z Sosnowca Bogdana Święczkowskiego, najbliższego współpracownika Zbigniewa Ziobry. Uczestniczył on zresztą w otwarciu nowej placówki, a jego żona, sędzia Małgorzata Hencel-Swięczkowska, dostała tam pracę w wydziale karnym odwoławczym.

Podczas uroczystości otwarcia sosnowieckiego sądu wstęgę przecinali zastępcy ministra Ziobry: Michał Woś z Raciborza oraz sędzia Katarzyna Frydrych, która do niedawna kierowała Sądem Okręgowym w Katowicach. – Życzę wszystkim, by w tej świątyni sprawiedliwości zawsze królowała sprawiedliwość – powiedział Woś. Po tej wypowiedzi sąd w Sosnowcu zaczęto nazywać „Watykanem sprawiedliwości”.

Prezesem nowego sądu w Sosnowcu została sędzia rejonowa Ewa Łapińska z Jaworzna. Jest członkinią nowej Krajowej Rady Sądownictwa, która zdaniem instytucji europejskich jest uzależniona od polityków. Pion cywilny nowego sądu został obsadzony przez sędziów delegowanych z rejonów. Powód? Żaden z cywilistów Sądu Okręgowego w Katowicach nie zdecydował się na przenie-

siny do Sosnowca. Inaczej było w pionie karnym – z Katowic do Sosnowca przeszło dziesięciu sędziów z wydziałów pierwszoinstancyjnych oraz kilku sędziów z wydziałów odwoławczych. W Katowicach zostawili sprawy, w których do tej pory orzekali i nie zdążyli wydać wyroków.

– Teoretycznie mogliby je skończyć, tym bardziej że w sądzie w Sosnowcu jest na razie jak na wakacjach, bo od czasu jego otwarcia wpłynęło tam zaledwie kilka spraw do osądzenia – mówią katowiccy sędziowie.

Karniści nie muszą kończyć spraw

7 i 8 kwietnia zebrało się jednak kolegium Sądu Okręgowego w Sosnowcu, w skład którego wchodzi prezes Łapińska oraz sędziowie: Małgorzata Hencel-Swięczkowska, Monika Jurek-Dziuba, Paweł Wysocki, Rajmund Gutowski i Patrycja Hadrych-Barańska. Kolegium rozpoznawało wnioski karnistów dotyczące zwolnienia ich z obowiązku dalszego prowadzenia spraw pozostawionych w Katowicach. Chodzi o 106 postępowań pierwszoinstancyjnych [w dwóch oskarżeni nadal są aresztowani – red.] oraz 44 procesy odwoławcze.

Kolegium sosnowieckiego sądu jednogłośnie uznało, że karniści nie muszą dalej prowadzić spraw zostawionych w Katowicach.

Taką decyzję podjęto, choć kierownictwo sądu w Katowicach prosiło, aby w większości tych przypadków kolegium nie zgadzało się na zwolnienie karnistów z obowiązku dokończenia procesów.

To oznacza, że ok. 150 spraw trzeba będzie teraz rozdzielić pomiędzy sędziów, którzy zostali w Katowicach, i rozpocząć je od nowa. Oskarżeni i pokrzywdzeni będą musieli dłużej czekać na wyroki. Nie można wykluczyć, że z tego powodu część zarzutów się przedawni. Problem będą mieli też adwokaci. Klienci zapłacili im za reprezentowanie podczas procesu, a teraz trzeba będzie go powtórzyć.

Pion karny sparaliżowany

O ile w wydziałach odwoławczych sprawy można zakończyć na dwóch, trzech terminach, o tyle w pionie pierwszoinstancyjnym wiele z nich toczyło się nawet po kilka lat. W jednym z procesów wyznaczonych do powtórzenia przesłuchano już 232 świadków, w innym – 102. Teraz te czynności trzeba będzie powtórzyć. – Takich postępowań jest więcej – mówią katowiccy sędziowie.

W kolejnym procesie, w którym o wyłudzenie podatków oskarżono 28 osób, szykowano się już nawet do mów końcowych. Nie zostaną ogłoszone, za to prokurator ponow-

nie będzie musiał odczytać akt oskarżenia, a sąd ponownie wysłuchać wszystkich świadków. W jeszcze innej sprawie sędzia planował wydanie wyroku. Nie wydał go, bo zaczął pracę w Sosnowcu. Cały proces do powtórki.

Decyzja sosnowieckiego kolegium spowodowała, że pion karny w Katowicach został zaduszony. „Każdorazowe obciążenie referatu sędziego koniecznością orzekania w kolejnych sprawach musi skutkować zwiększonym nakładem jego oraz sekretariatu pracy” – napisał „Wyborczej” sędzia Jacek Krawczyk, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Katowicach. Każdy z pracujących tam sędziów dostał do osądzenia po 7–10 nowych spraw po kolegach, którzy przeszli do Sosnowca. Niektóre mają po kilkaset tomów akt. – Z powodu obciążeniu pracą terminy pierwszych rozpraw w tych postępowaniach najwcześniej będziemy wyznaczali na koniec 2023 r. – mówili nam katowiccy sędziowie. W obawie przed retorsjami dyscyplinarnym zastrzegli anonimowość.

Sędzia Ewa Łapińska, prezes Sądu Okręgowego w Sosnowcu, nie odpowiedziała na pytanie, czym się kierowano, zwalniając sędziów z obowiązku dokończenia procesów w Katowicach. Także Ministerstwo Sprawiedliwości nie wyjaśniło, w jaki sposób zamierza pomóc katowickiemu sądowi, który będzie musiał powtarzać procesy.

Bezsens organizacyjny Ministerstwa Sprawiedliwości

– Ta historia to skandal pokazujący bezsens organizacyjny Ministerstwa Sprawiedliwości. Tworzy się niepotrzebny nikomu sąd w Sosnowcu tylko po to, aby zaspokoić ambicje Bogdana Święczkowskiego, i doprowadza się do upadku bardzo dobrze funkcjonujący sąd w Katowicach. Kto na tym zyskał? Na pewno nie ludzie, którzy będą musieli dłużej czekać na sprawiedliwość – powiedział nam sędzia Krystian Markiewicz, prezes Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia”. Dodał, że wszystkie osoby, które pracowały przy utworzeniu sądu w Sosnowcu, powinny teraz zostać pociągnięte do odpowiedzialności. ●

Wybór szefa NBP

Glapiński aż do skutku

Wielowieyska



Z wyborem prezesa Narodowego Banku Polskiego PiS czeka do chwili, aż się posłowie opozycji pochorują albo pojadą na delegacje. Wtedy będzie mieć większość i wybierze Adama Glapińskiego. A właściwie dlaczego tak mu na tym zależy?

„Inflacja w kwietniu: 12,3 proc. Cel inflacyjny NBP: 2,5 proc. Czekamy nas kolejna spora podwyżka stóp procentowych w maju. Inflacja zjadła nam już nie jedną, ale półtorej pensji. To wciąż nie szczyt. Kadencja A. Glapińskiego kończy się 21 czerwca. Będzie kolejna?” – napisał na Twitterze analityk Rafał Mundry.

A głosowanie w sprawie powołania prezesa NBP ponownie zostało przełożone, tym razem na połowę maja. PiS bowiem nie jest pewny większo-

ści w Sejmie dla Adama Glapińskiego, a przedstawiciel koła Pawła Kukiza Jarosław Sachajko w piątek powtórzył w rozmowie z „Wyborczą”, że nie podjął decyzji, jak zagłosuje.

Jarosław Kaczyński chce koniecznie zostawić Glapińskiego w NBP, ale część posłów PiS kombinuje, jak by tu wykręcić się od głosowania. Nie chcą, aby w okręgach wyborczych ludzie wspominali im, że poparli polityka, który od dawna jest twarzą polskiej drożyzny i kojarzy się z lawinowo rosnącymi ratami kredytu. Poza tym kolejne frakcje i frakcyjki przy okazji tego głosowania chcą coś utargować. Tak więc serial pt. „wybór Glapińskiego” się nie kończy.

Glapiński bardzo nadwyreżył wizję NBP. Nie chodzi tylko o inflację, ale także inne fakty, które zapisały się w pamięci Polaków, choćby kosmiczne wynagrodzenia jego współpracowników, które nie legitymują się kompetencjami kluczowymi dla pracy w tym sektorze. Z politycznego punktu widzenia lepiej byłoby się pozbyć obecnego prezesa i postawić na kogoś nowego, kto nie będzie się kojarzył z dotychczasową fatalną polityką banku.

Dlaczego PiS na to nie idzie? Bo Glapiński jest absolutnie dyspozycyj-

ny wobec Nowogrodzkiej. A poza tym jest niezwykle sprawny w budowaniu swojego lobby w obozie rządzącym i zawieraniu taktycznych sojuszy, zazwyczaj przeciw Mateuszowi Morawieckiemu. Inny prezes NBP mógłby złapać wiatr w żagle i nie odbierać telefonu z Nowogrodzkiej, boby sobie ubzdurał, że bank centralny jest niezależny od władzy wykonawczej. To by się prezesowi Kaczyńskiemu nie spodobało. A wśród dyspozycyjnych i wiernych ludzi prezesa nie ma ekonomistów. Przecież Marka Suskiego Kaczyński nie mianuje na to stanowisko. Po co więc ryzykować?

Glapiński ma wielu sojuszników w PiS, ponieważ rozdał posady ważnym osobom. W zarządzie NBP jest jeden z najbliższych współpracowników prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego Adam Lipiński. W NBP pracują lub pracowały żony i były żony działaczy i ministrów. Glapiński postarał się o bardzo intratną posadę dla syna szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego. Doradcą prezesa NBP jest też Paweł Mucha, były prawnik prezydencki, który jest jednocześnie doradcą społecznym prezydenta Andrzeja Dudy. Doradcy w banku centralnym zara-

biają 30-40 tys. zł miesięcznie. Czy Paweł Mucha nie zrobi wszystkiego, co się da, by jego dobroczyńca utrzymał się na stanowisku? Wcześniej u prezydenta zarabiał ok. 13 tys. zł.

Gdzie te czasy, kiedy po awanturze pod naciskiem opinii publicznej szybko odwołano nominację doradcy Donalda Tuska Igora Ostachowicza do zarządu PKN Orlen. Dziś już wszyscy przyzwyczaili do standardów „dobrej zmiany”. Lipiński i Mucha w NBP, Małgorzata Sadurska w PZU. To tylko niektóre z nazwisk. PiS się wszystkim śmieje prosto w nos i nic nie robi sobie z krytyki. Jednak gdyby w banku centralnym pojawiła się nowa postać, niektórzy krewni i znajomi królika mogliby potrącić te posady.

Walka o Glapińskiego będzie więc trwała, aż pewnego dnia partia rządząca policzy, że na sali jest nieobecnych tylu posłów opozycji, że PiS ma większość. Jest więc szansa na wygrane głosowanie. Do tego momentu decyzja będzie nieustannie odkładana, a Glapiński będzie rządzić dalej, nawet po upływie swojej kadencji, bo zgodnie z ustawą o NBP kieruje tym bankiem do chwili powołania nowego prezesa. ●

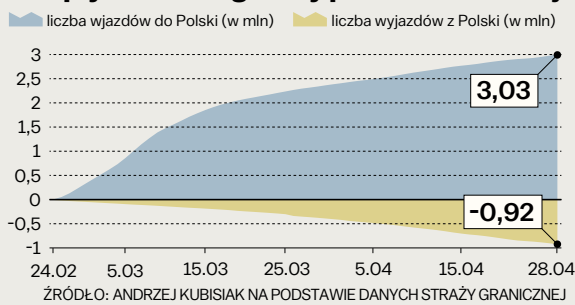
Dominika Wielowieyska

33

MLD DOL.

• O taką pomoc humanitarną zwrócił się prezydent Joe Biden do amerykańskiego Kongresu. To ponad dwa razy więcej niż 13,6 mld, które zatwierdzono w zeszłym miesiącu

Przepływ osób na granicy polsko-ukraińskiej



Plące gonią inflację, a inflacja goni plące. Wysokie ceny żywności, paliw, gazu, metali i braki surowców oraz silny wzrost płac spowodują dwucyfrową dynamikę cen w najbliższych miesiącach

PAWEŁ BORYS
prezes PFR

Gazowa bitwa narodów

Andrzej Kublik

Pół wieku Europa uzależniała się od gazu z Rosji. Teraz ma parę lat, a może nawet miesięcy, by odstawić ten dopalacz.

W Europie trwa energetyczne starcie, którego wynik na dziesięciolecie przesądzi o przyszłości gospodarczej i politycznej naszego kontynentu. Państwa Unii Europejskiej postanowiły skończyć z uzależnieniem od rosyjskiego gazu. Z Rosji pochodzi jedna trzecia gazu zużywanego w Europie, UE wydaje dziesiątki miliardów euro, finansując wojnę Putina.

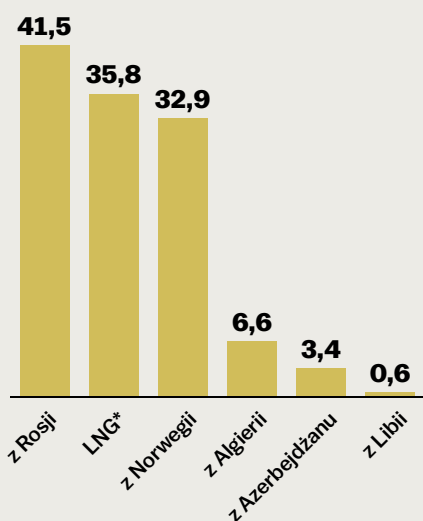
W Europie gorączkowo szuka się alternatyw. W grę wchodzi zwiększanie wydobycia z własnych złóż i importu z Norwegii, Algierii, Azerbejdżanu. Prawdziwą alternatywę może stanowić tylko skroplony gaz LNG, ale nie ma szans, by w tym roku mógł wyprzeć gaz rosyjski.

Europę czeka zaciskanie pasa, jeśli chce się wyzwolić z okowów zaciskanych przez Putina. ●

Śledź sytuację na Wyborcza.biz

Wydatki na import gazu

Dane w mld euro rocznie



Import LNG

Dane w mld m³ rocznie

łącznie
80 mld m³
w tym:



Zużycie gazu w UE

412 mld m³**+4%**

Import gazu do UE

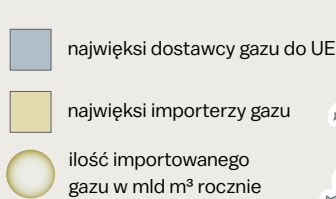
337,5 mld m³**+3%**

Wydobycie z własnych złóż UE

50,6 mld m³**-7%**

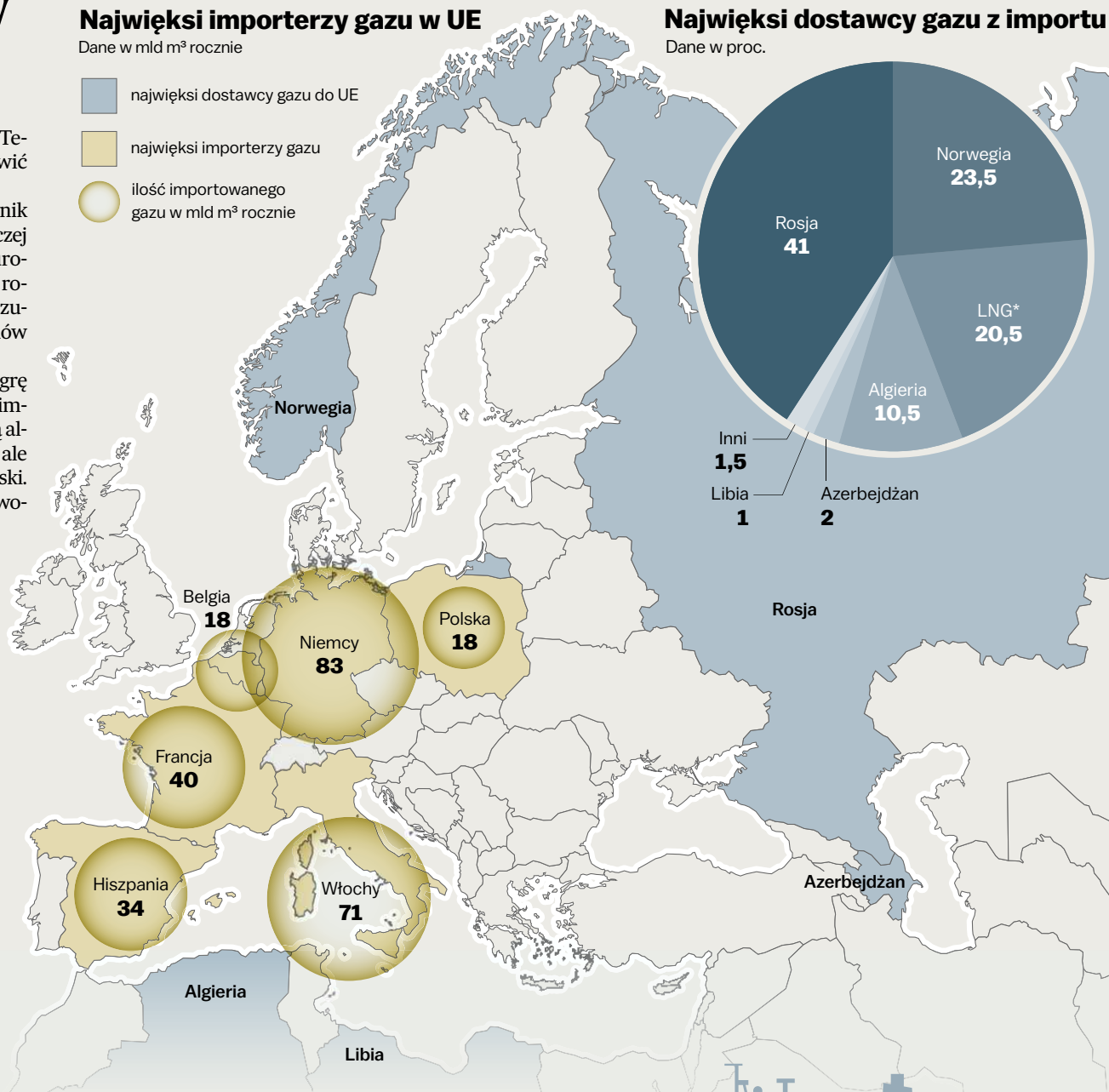
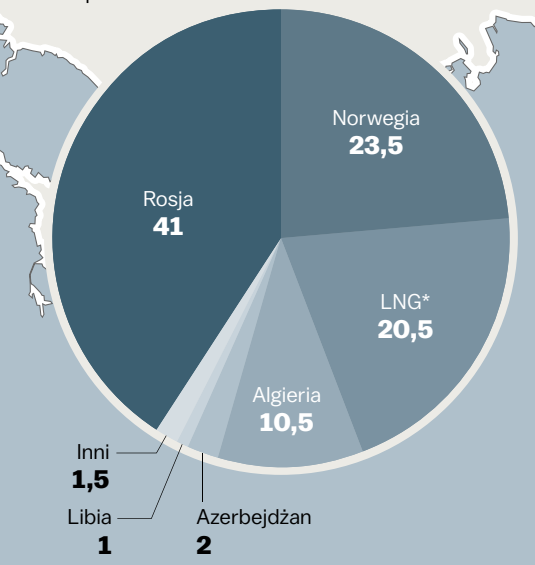
Najwięksi importerzy gazu w UE

Dane w mld m³ rocznie



Najwięksi dostawcy gazu z importu

Dane w proc.



Jak inwestować w czasach inflacji?

Inflacja wynosi 12,3 proc., i to jeszcze nie koniec. Przy takim wzroście cen niemożliwe jest bezpieczne utrzymywanie realnej wartości naszych oszczędności. Ale straty można ograniczyć.

Anna Popiołek

Po wybuchu wojny w Ukrainie Polacy najpierw rzucili się do bankomatów, a potem, z gotówką, do kantorów. Kupowali waluty, kiedy euro było prawie za 5 zł, a dolar za 4,6 zł. Czyli w najgorszym możliwym momencie, bo kilka dni później kurs złotego nieco się ustabilizował i można było zapłacić i za euro, i za dolara kilkadziesiąt groszy mniej.

Oczywiście, ludźmi kierował strach, że euro będzie i po 6 zł, ale edukacja finansowa podpowiada, żeby nie ulegać zbiorowej panice, bo wtedy zwykle się traci.

Niestety, sytuacja oszczędzających, którzy już i tak byli w fatalnej sytuacji przez szalejącą drożyznę, pogorszyła się. Nadal, mimo podwyżek stóp procentowych, oprocentowanie lokat szoruje po dnie i banki niechętnie podwyższają procent, jaki są w stanie płacić za powierzenie naszych oszczędności. Choć kolejne banki nieśmiało podnoszą oprocentowanie – kontrolowany przez państwo PKO BP zapowiedział, że zwiększa je do 2,5 proc., Credit Agricole podwyższył do 3 proc., a Pekao SA nawet do 4 proc. – to nadal jest to dużo mniej niż ostatnie odczyty inflacji.

Nic dziwnego, że coraz więcej osób rozgląda się za nowymi okazjami do inwestowania i chronienia pieniędzy. Bezpiecznych inwestycji nie ma, ale jak szukać tych, które zmniejszają ryzyko?

OBLIGACJE ANTYDROŻYŻNIANE

Donald Tusk zaproponował, że skoro banki nie podnoszą oprocentowania lokat, to niech rząd wyemituje obligacje, które będą dawały zarobić tyle, ile wynosi inflacja – jeśli inflacja wyniesie 10 proc., to my też zarobimy 10 proc. To byłby najbezpieczniejszy i najbardziej zyskowy sposób na ochronę swoich pieniędzy (ale tylko do limitu 50 tys. zł, żeby nie mogli z niej skorzystać milionerzy). Rząd PiS mówi „nie” i zamiast tego oferuje obligacje waloryzowane inflacją, ale dopiero od drugiego roku inwestycji. Dlatego oprocentowanie obecnie oferowanych obligacji waloryzowanych inflacją jest niższe, bo w pierwszym roku po zakupie tracimy.

Przykład? Obligacje 10-letnie w pierwszym roku są oprocentowane na 2,7 proc., a w kolejnych 1,25 proc. plus wskaźnik inflacji (za ubiegły rok). Z kolei takie obligacje 4-letnie dają zarobić w pierwszym roku 2,4 proc., a w kolejnych 1,25 proc. plus inflacja.

Jeszcze lepiej, kiedy mamy dzieci – wtedy możemy kupić obligacje dedykowane rodzinom z myślą o inwestowaniu 500 plus. 6-latki w pierwszym roku są oprocentowane na 2,5 proc., a w kolejnych inflacja plus 1,5 proc. Z kolei 12-letnie obligacje rodzinne w pierwszym roku dają 3 proc. zwrotu, a w kolejnych wskaźnik inflacji powiększony o 1,75 pkt proc.

OBLIGACJE FIRM. CZASEM ZYSKI, A CZASEM BANKRUCTWO

Jeszcze więcej można zarobić na obligacjach, które sprzedają firmy – to tak zwane obligacje korporacyjne. O ile jednak bankructwo państwa jest mało prawdopodobne, to problemów finansowych firm wykluczyć się nie da. Wtedy posiadacze obligacji nie mają żadnej ochrony – mogą stracić wszystko, co włożyli. Oczywiście, bankructwo dużych firm jest bardzo mało prawdopodobne, problem w tym, że one rzadko oferują obligacje klientom indywidualnym.

– W tym przypadku, również przy rosnących stopach procentowych, wiąże się to z dużym ryzykiem. Rosnące koszty obsługi długu mogą wprowadzić słabszych emitentów w problemy z płynnością, więc najbliższe kwartały mogą przynieść falę niewypłacalności. Czerwona lampka powinna nam się zapalić, kiedy oprocentowanie takich papierów jest dwucyfrowe, bo to oznacza, że ryzyko jest spore – mówi „Wyborczej” Przemysław Barankiewicz z Finax, który prowadzi zarządzanie pieniędzmi komputerowym algorytmem.

I dodaje: – Pytanie, ile ludzi przejedzie się na tym, że będzie szukało dwucyfrowych zysków. Niestety, teraz musimy się pogodzić z tym, że nasze pieniądze przez rok czy dwa będą realnie traciły na wartości.

Ale tracą również osoby, który próbowały inwestować w obligacje krajów, ale nie bezpośrednio, tylko przez fundusze inwestycyjne. Fundusze kupiły dużo drogie obligacje, gdy stopy procentowe były niskie, a po podwyżkach ich cena spadła. Tylko z polskich funduszy dłużnych (czyli obligacji) wycofano w ostatnich miesiącach 8 mld zł, często ze stratą.

Michał Szymański, prezes działającego w Polsce austriackiego funduszu VIG/C-QUADRAT TFI: – Na światowych rynkach papierów dłużnych mieliśmy do czynienia z największą korektą od 2008 roku. Obecnie warto już rozważyć inwestycję w obligacje, ale inwestorzy powinni pamiętać, że wciąż je-

steśmy w sytuacji zwiększonej zmienności i znacznych wahań.

– Inflacja wydaje się kluczowym czynnikiem sprzyjającym przyjmowaniu przez inwestorów nowych rozwiązań – mówi Daniel Kostecki, dyrektor polskiego oddziału Conotxia Ltd, spółki, która świadczy usługę Forex dla użytkowników portalu Cinkciarz.pl.

Jak wynika z raportu „2022 Global State of Crypto Report”, respondenci z krajów, które doświadczyły 50-procentowej lub wyższej dewaluacji swojej waluty w stosunku do dolara amerykańskiego w ciągu ostatnich 10 lat, ponad pięć razy częściej twierdzili, że planują zakup kryptowalut w nadchodzącym roku, niż badani z państw, które przeżyły dewaluację o skali mniejszej niż 50 proc.

GIEŁDA TARCZA ANTYINFLACYJNĄ

– Jak pokazuje historia, nie ma takich instrumentów finansowych, które dają taki procent jak inflacja i do tego są relatywnie bezpieczne. Patrząc jednak na rynek akcji, na przykładzie USA, w długim terminie, czyli dowolnie wybranych 10 lat, rynek zawsze daje zarobić. Tak było nawet w latach 70., kiedy przez inflację trudno było utrzymać realną wartość pieniądza. Wtedy amerykańska giełda dała stopy zwrotu pokrywające się z inflacją – mówi nam Barankiewicz.

Jednak Polacy mają pewien problem z inwestowaniem na giełdzie. – Jesteśmy mocno uzależnieni od lokalnych inwestycji – polskie akcje, polskie obligacje. Warto zadać sobie pytanie, czy jeśli jesteśmy krajem, który ma kilka promili udziału w światowych rynkach finansowych, jeśli zarabiamy w złotych, mamy nieruchomości w złotych, to czy nie warto zdywersyfikować chociaż części oszczędności lokowanych w papierach wartościowych – tłumaczy analityk Finaxa.

Przykład? Po wybuchu wojny w Ukrainie amerykańskie giełdy szybko odbiły. Po pierwsze dlatego, że geograficznie USA znajdują się daleko od Ukrainy, a po drugie dlatego, że w niepewnych czasach pieniądze odpływają od rynków wschodzących do tzw. bezpiecznych przystani. A Polska ciągle jest postrzegana jako rynek wschodzący i jeśli coś niebezpiecznego się dzieje na świecie – teraz w dodatku tuż przy naszej granicy – to pieniądze zagranicznych inwestorów odpływają.

Oczywiście taką inwestycję obarcza jeszcze ryzyko walutowe.

Barankiewicz: – Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czy, gdzie i kiedy wybuchnie wojna,

a skoro tak, to może lepiej nasze pieniądze trzymać w wielu różnych miejscach i inwestować globalnie. Dodatkowo choćby w ostatnich miesiącach dolar mocno się umocnił, więc mając część oszczędności w mocnej walucie, nawet jeśli stracimy przez spadki na giełdach, to będziemy do przodu dzięki temu, że inne waluty się umacniają względem złotego. Trzymanie pieniędzy poza Polską jest dobrą radą.

A to dotyczy też poduszki finansowej trzymanej na kontach bankowych – zaskórniaki na czarną godzinę można trzymać w dolarach czy euro ulokowanych na kontach walutowych w bankach. Zwłaszcza że coraz więcej banków oferuje takie usługi bezpłatnie, a niektóre pozwalają też na zakładanie lokat w obcej walucie.

AKTYWNIE CZY PASYWNIE?

Jeśli zdecydujemy się na rynek akcji – czy to polski, czy zagraniczny – musimy zdecydować, czy chcemy oddać nasze pieniądze pod zarządzanie specjalistom, czy zdać się na rynek jako całość. O co chodzi?

Do wyboru mamy fundusze inwestycyjne zarządzane aktywnie, czyli decyzje, które akcje włożyć do portfela, podejmują ludzie i fundusze zarządzane pasywnie – czyli algorytm tak dobierze akcje i obligacje do naszych portfeli, żeby odwzorować cały rynek, np. konkretny indeks.

Zaleta? Tzw. zarządzanie pasywne jest dużo tańsze. W tym przypadku opłata za zarządzanie to średnio ok. 0,2 proc., podczas gdy towarzystwu funduszy inwestycyjnych będziemy musieli zapłacić nawet 2 proc. naszych oszczędności. To ma fundamentalne znaczenie, jeśli chodzi o to, czy zarobimy, czy nie – często opłaty za zarządzanie pożerają lwią część wypracowanych zysków.

– Inwestowanie pasywne polega trochę na tym, że jeśli nie mogą kogoś pokonać, to może warto się do niego przyłączyć. W tym przypadku przyłączamy się do całego rynku – mówi „Wyborczej” Barankiewicz.

Możemy też przykładowo kupić jednostki uczestnictwa w funduszu ETF, dzięki któremu zainwestujemy w 500 największych amerykańskich spółek, ale też np. ETF na spółki z konkretnej branży.

Marek Kaźmierczak, zarządzający akcjami w funduszu VIG/C-QUADRAT: – Jeżeli chodzi o rynek akcji w Polsce, kluczowa jest selekcja. Wśród branż, które w obecnych warunkach mogą odnotować najwyższą popra-



FOT. SHUTTERSTOCK

Finansowanie wydatków przez BGK i PFR to nie tylko brak kontroli parlamentu

Pułapka tuczenia narodowej inflacji

Stawiński

wę wyników finansowych, można wymienić banki i górnictwo. W odmienniej sytuacji będzie branża budowlana, deweloperzy mieszkaniowi i komercyjni, producenci gier komputerowych, przemysł, a także handel detaliczny, gdzie trudno będzie utrzymać marże i zyskowność.

Przy długoterminowym oszczędzaniu, w perspektywie 10 lat, ponad 90 proc. aktywnie zarządzanych portfeli przegrywa ze strategią pasywną, czyli kupowaniem po prostu całych indeksów. Często jest jednak tak, że podczas kryzysów finansowych fundusze zarządzane aktywnie radzą sobie jednak dużo lepiej niż cały rynek i szybciej reagują na zmiany otoczenia ekonomicznego.

Jak na decyzje inwestycyjne powinny wpłynąć inflacja i wojna w Ukrainie? – Paradoksalnie, jeśli ktoś już inwestuje, to nie zmieniłbym nic. Najgorsze, co nam może podpowiedzieć serce, a nie rozum, to nagła zmiana strategii i sprzedaż akcji. Emocje są najgorszym doradcą, choć ich powstrzymanie i taka strategia mogą być trudne w takich momentach jak wojna w Ukrainie – mówi nam Barankiewicz.

I tłumaczy: – Żaden doradca inwestycyjny nie podpowie nam na pewno, kiedy jest dobry moment na wejście, a kiedy na wyjście z inwestycji. Zawsze warto być na rynku, nie pytać, czy to jest dobry moment, tylko czerpać zyski z cierpliwości i inwestować długoterminowo.

O co chodzi? – Kluczowa jest regularność, wtedy można odciąć emocje i nie patrzeć na indeksy. Dzięki temu uśredniamy cenę zakupu akcji. Wiadomo, że każdy chciałby kupić po najniższej cenie. Ale inwestując regularnie stałą kwotę, mamy pewność, że nie kupujemy na pewno po najwyższej cenie, tylko średniej z danego okresu – mówi Barankiewicz. ●

Autor jest profesorem w Katedrze Ekonomii Ilościowej SGH, był członkiem Rady Polityki Pieniężnej w latach 2004-10

Każdy wydatek budżetowy zwiększa ilość pieniędzy u tych, do których trafiają transfery i dotacje. Nie prowadzi to do inflacji, dokąd budżet jest zrównoważony, ponieważ z punktu widzenia całej gospodarki podatki to oszczędności, a więc odpowiada im pula niekupionych jeszcze dóbr i usług.

Z tego samego powodu także deficyt budżetowy nie wpływa na inflację, jeśli finansują go oszczędności, które rząd pożyczka od funduszy inwestycyjnych lub towarzystw ubezpieczeniowych, sprzedając im obligacje.

Nie przypadkiem w początkowych rozdziałach podręczników do makroekonomii można znaleźć równanie, mówiące, że inwestycje, nadwyżka handlowa i deficyt budżetowy powinny być finansowane z oszczędności. Gdzie jednak można sprawdzić, czy deficyt budżetowy rzeczywiście jest tak finansowany? W tym celu trzeba zajrzeć do bilansów instytucji finansowych, które kupują emitowane przez rząd obligacje. W przypadku funduszy emerytalnych i towarzystw ubezpieczeniowych możemy być spokojni, że ich zakupy obligacji są sfinansowane z lokowanych w nich oszczędności – w formie udziałów i składek ubezpieczeniowych.

Z bankami jest już inaczej. Gdy rząd zaciąga pożyczki w bankach, sprzedając im obligacje, nie możemy już być pewni, że rząd rzeczywiście pożyczka oszczędności. Jest tak dlatego, że banki są instytucjami mającymi głównie krótkoterminowe źródła finansowania. Gdy banki kupują obligacje skarbowe do tzw. książki rynkowej (portfela aktywów służących do przeprowadzania krótkoterminowych transakcji), to wykorzystują do takiego zakupu swoje płynne rezerwy, czyli środki płatnicze, które mają na rachunkach bieżących w banku centralnym.

A płynne rezerwy to nie są oszczędności. Nie powstają w wyniku tego, że ktoś rezygnuje z zakupu dóbr i usług.

Kreuje je bank centralny na przykład wtedy, gdy płaci za kupione od banków obligacje, zwiększając wielkość ich płynnych rezerw.

Dodajmy w tym miejscu, że podatek bankowy skłania banki do takiego właśnie finansowania zakupów

obligacji skarbowych – przy wykorzystaniu płynnych rezerw.

Gdy banki komercyjne kupują obligacje skarbowe do tzw. książki bankowej (portfela aktywów, które dłużej trzymają w portfelu), finansują te zakupy depozytami wpłacanymi przez gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa. Z natury rzeczy jednak tylko część tych depozytów traktowana jest przez ludzi i firmy jako oszczędności. Reszta to pieniądź depozytowy wykorzystywany na bieżące wydatki.

Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że banki radykalnie różnią się od funduszy inwestycyjnych i towarzystw ubezpieczeniowych. Różnią się tym, że same mogą kreować pieniądź depozytowy. Jeśli bank udziela kredytu, to po aktywnej stronie swojego bilansu księguje jego kwotę, a po pasywnej stronie pojawia się pieniądź depozytowy w posiadaniu pożyczkobiorcy.

Króluje ostatnio przekonywanie, że dług publiczny trzeba wręcz kochać, gdyż będzie on źródłem dochodów odsetkowych dla przyszłych pokoleń

Wzrost depozytów bankowych wykreowanych kredytem obrotowym z reguły nie jest proinflacyjny, ponieważ finansuje produkcję dóbr i usług.

Wzrost depozytów wykreowanych przez banki w wyniku kredytowania rządu, w formie zakupu obligacji skarbowych, jest już jednak potencjalnie proinflacyjny, ponieważ budżet nie produkuje ani dóbr, ani płatnych usług.

Kredytowanie rządu przez banki komercyjne nie powoduje wzrostu inflacji dotąd, dokąd w gospodarce danego kraju występuje ogólny nadmiar oszczędności, jak ma to miejsce od dłuższego czasu w krajach wysoko rozwiniętych.

Wprawdzie i u nas, jakkolwiek z zupełnie innych przyczyn, firmy inwestują mniej, niżby mogły, ale trudno w naszym przypadku mówić, że mamy nadmiar oszczędności. Po epidemii COVID-19 wszyscy już wiedzą, że „gdy NBP kupuje obliga-

cje wyemitowane przez Polski Fundusz Rozwoju lub Bank Gospodarstwa Krajowego, to jest to klasyczne proinflacyjne zrzucanie pieniędzy z helikoptera”.

Takie zakupy są finansowane wzrostem płynnych rezerw, które NBP może kreować w dowolnej ilości.

Warto jednak zdawać sobie sprawę z tego, że sytuacja nie jest radykalnie inna, jeśli rachunki różnych instytucji w BGK, nazywane dla niepoznaki funduszami, są zasilane dochodami ze sprzedaży obligacji tego banku.

Jeśli kupują je inne banki komercyjne, to część takiego finansowania jest niczym innym niż emisją pieniądza, która nie ma pokrycia w podaży dóbr i usług. Im więcej więc będzie wydatków rządu finansowanych w ten sposób, tym większe będzie ryzyko nadmiernej emisji pieniądza i towarzyszącej jej chronicznie podwyższonej inflacji.

PFR jest wprawdzie funduszem, ale skoro i on może – jak BGK – finansować swą działalność emisją obligacji, to jest on także rządowym quasi-bankiem inwestycyjnym. Tym samym, jeśli obligacje PFR kupują banki komercyjne, to możemy tylko powtórzyć, że w części prowadzi to do wzrostu podaży pieniądza.

W dyskusji publicznej dotyczącej polityki fiskalnej w Polsce nie pojawia się niestety pytanie o to, w jakiej części deficyt budżetowy jest finansowany z oszczędności, a w jakiej emisją pieniądza.

Króluje ostatnio przekonywanie, że dług publiczny trzeba wręcz kochać, gdyż będzie on źródłem dochodów odsetkowych dla przyszłych pokoleń.

Dla nich jednak ważne jest nie to, czy zarobią w przyszłości parę groszy z oprocentowania kuponów obligacji, lecz to, by nasza gospodarka nie została do końca zepchnięta ze ścieżki zrównoważonego wzrostu na boczna szutrową drogę, na której tempo wzrostu PKB będą już stale hamować konieczność spłat rosnącego szybko faktycznego długu publicznego i uporczywie podwyższona inflacja.

Trzeba z tego wszystkiego zdawać sobie sprawę, by być odpornym na opowieści o tym, jak to BGK i PFR będą łatwo pozyskiwały środki na wszystko. Bo jeśli rzeczywiście będą wszystko tak pięknie finansować, to trzeba szykować się na stale wyższą inflację.

Prof. Andrzej Stawiński



KARTA PREZENTOWA
z roczną prenumeratą

wyborcza.pl

~~359 zł~~
za 189 zł
Praktyczny wizytownik w prezencie

Zamów na: Wyborcza.pl/karta

Chiński smok ruszył na łowy

Popularne wybrzeża, ukryte wysepki, strategiczne cieśniny w rejonie Azji i Pacyfiku. Apetyt Chin na zakup nowych terytoriów i inwestycje za granicą jest coraz większy. Żaden wybrany kawałek lądu nie jest przypadkowy

Dominika Maciejasz

Filipiński archipelag Balabac, składający się z głównej wyspy o tej nazwie i wielu mniejszych, w części niezamieszkałych, leży na południowo-wschodnim krańcu tego wyspiarskiego kraju. Jego zielone wybrzeża niemal sięgają czubka Indonezji. Oddalony od popularnych turystycznych plaż, jest trudno dostępny dla zwiedzających. Podróż z ulubionego przez turystów Palawanu zajmuje tam w sumie kilkanaście godzin.

WYSIEDLIĆ TUBYLCÓW, ZABUDOWAĆ WYSPY

Wytrwałych, którzy po wielogodzinnej podróży staną na ziemi Balabacu, przywitają bujna przyroda i mizerna baza – ekhm – hotelowa. Nocleg w nieklimatyzowanym pokoju bez okien, na twardej pryczy to na Balabacu wyżyny komfortu. Ale w końcu kto spędza czas na zielonej wyspie w czterech ścianach?

Balabac zachwyca zielenią palm, rozłożystymi drzewami moringi, a jego mniejsze wysepki, jak Onoc, kryją w sobie perelkę wyspiarskiego krajobrazu. Za sprawą morskich alg morze zmienia tam kolor w zależności od odległości od brzegu. Przy jego linii jest on jasnoróżowy, potem lazurowy, by im dalej od lądu – z turkusowego zmienić się w bajeczny, głęboki granat. Te morskie odcienie odbijają się w soczystej zieleni palm i błękitie przejrzystego nieba nad wyspami małego archipelagu.

Tamtejsza część morza słynie też z innej, rzadkiej atrakcji – tzw. sandbarów. To pasy piaszczystego lądu, które wylaniają się – ni stąd, ni zowąd, pośrodku morza. Można po nich spacerować, wylegać się na słońcu czy zjeść lunch. Zdjęcia z takich „przystanków” pośrodku fal robią furorę w mediach społecznościowych.

Ale wody Balabacu kryją w sobie jeszcze inną, mroczną niespodziankę. Główna wyspa jest nazywana domem krokodyli i nazwa ta nie jest jedynie legendą. Krokodyle żyją tu od lat, koczując głównie w przybrzeżnych szuwarach i trzcinach, a o swoje drapieżnej naturze przypominają czasem nocami. Przybrzeżne domki mieszkańców stoją na wysokich palach. Pod nimi, na piasku, bezdomne, wychudzone do kości psy szukają resztek jedzenia – pozostałości po posiłkach jedzonych na pomoście. Mieszkańcy opowiadają, że niejednego psa skończył w krokodylęj paszczy.

Na Balabacu nie ma ubóstwa, ale jest bieda. O jedzenie nietatwo. W okresie, kiedy słonecznej aury nie zakłócają monsuny, morze karmi mieszkańców – i ich portfele – rybami, krewetkami, homarami. W porze deszczowej na wyspie brakuje jedzenia. Mieszkańcy Balabacu ryż i warzywa sprowadzają. Niektórzy mają też kozy, których mlekiem się pożywiają. Na uprawie ziemi się nie znają, bo od pokoleń są rybakami. Morze to dla nich drugi dom, a obsługa łódki, pętla-

mi na linach, rybackimi sieciami zajmą się i z zamkniętymi oczami. Jak mówią, plewienie zostawiają rolnikom.

Choć Balabac wciąż pozostaje mało eksplorowany przez turystów, dotarło tu inwestorskie oko bogatych sąsiadów.

– Tę wysepkę straciliśmy. Kupił ją chiński biznesmen. Nie wiemy, co planuje na niej zrobić. Nie rozmawia z nami, przylatuje bezpośrednio tutaj, helikopterem – kapitan naszej łodzi wskazuje palcem małą, uroczą i niezamieszkaną wyspę, którą mijamy podczas rejsu między skarbami archipelagu.

Pytamy, jak to możliwe. Przecież filipińskie prawo zabrania wykupu ziemi cudzoziemcom. – Oni wiedzą, jak prawo ominąć. Wystarczy założyć spółkę joint venture albo znaleźć Filipinczyka – słupa, lasego na pieniądze, który za ich pieniądze wykupi teren, często nie wiedząc nawet, co podpisuje i o który kawałek ziemi chodzi, i odda go w długoletnią dzierżawę – wyjaśnia kapitan.

HOTELE W MIEJSCIE RYBACKIEJ WIOSKI

O tym, że Chińczycy od dawna mają chrapkę na te tereny, opowiada nam Kina Kuan, która na Balabacu prowadzi niewielki rodzinny biznes turystyczny. – Przyjechali tu kiedyś chińscy inwestorzy. Chcieli stawiać hotele przy wybrzeżu. Nam zaoferovali ogromne pieniądze za odsprzedaż ziemi i zaoferovali nam przeniesienie się w głąb lądu. Przecież my byśmy tam umarli z głodu. Nie znamy się na uprawie ziemi, nasi ojcowie i dziadkowie parali się rybołówstwem – mówi Filipinka.

Firma Kiny oferuje turystom głównie rejsy po archipelagu i posiłki. Jej dom jest niewielki, kryty blachą. Nie może zaoferować im bazy noclegowej, bo takiej nie posiada. Ale z pieniędzy, które zostawili u niej nieliczni zachodni podróżnicy, wyremontowała łazienkę. Jest jedną z wielu mieszkańców Balabacu, którzy ma-



ją w niej płytki. Podczas wycieczek, które organizuje, stara się też edukować. Turysty mogą na przykład przyglądać się łodowej pracy rybaków – czyszczeniu sieci ze śmieci, głównie plastiku, wyrzuczonego do morza.

Obecność Chińczyków na wodach Filipin martwi też Filipinczyków z powodów ekologicznych. Im bardziej penetrują ich teren, tym większe szkody wyrządzają środowisku naturalnemu.

Małe filipińskie łodzie rybackie wypychane są z wód przez wielkie chińskie kutry. Te nie przejmują się naturą, tralują dno morza sieciami (zgarniając wszystkie żyjące tam organizmy, niezbędne w morskim ekosystemie, a nieprzydatne potem w handlu), w efekcie zmniejszając zasoby ryb i owoców morza.

– Mówiąc wprost – odbierają nam chleb – kwituje Kina, która dodaje: – Wiem, że oni tu wrócą. Tym razem udało się skrzyknąć całą wioskę i wspólnie odrzucić propozycję inwestorów. Ale co będzie za jakiś czas? Gdy kogoś przycisnie bieda albo na przykład będzie chciał wysłać za ich pieniądze dzieci do zachodnich szkół? – martwi się Kina.

Ekspansja chińskich firm na Filipinach sięga też innych terenów. Budują hotele, stawiają restauracje, nie wspominając o wymianie handlowej, którą zdominowali – w filipińskich marketach dominuje towar z fabryk Państwa Środka, głównie tekstylia, ubrania, zabawki.

To samo dzieje się w krajach Azji Południowo-Wschodniej – jak Laos czy Mjanma. Ich mieszkańcy dzielą te same zmartwienia: niedbałość chińskich inwestorów o ich dziedzictwo, środowisko naturalne.

PRZEHANDLOWAĆ DŻUNGLE

Takie głosy słyszymy m.in. w północnej prowincji Laosu – Louang Namtha, gdzie rozpościera się słynna dżungla – rezerwat Narodowy Obszar Ochrony Bioróżnorodności Nam Ha. Teren gęsto porastają drzewa bananowca, rattanu, strzeliste bambusy, rośliny lecznicze, pachnący kardamon. To dom dzikich zwierząt, leśnego ptactwa, ale też – gigantycznych pająków koczujących w koronach drzew na swoje ofiary.

Miejscowi traktują dżunglę z pokorą – dostarcza im materiałów, pożywienia, jest źródłem dochodu z treków organizowanych dla turystów. Na wyprawy nikt nie zabiera tu plastiku – sztućce, kubki są wykonane z bambusa, a za talerzyki służą rozłożyste liście. Nocleg – w bambusowych, zbitych naprędce szałasach na krótkich palach, gdzie dla większej wygody rozkładane są liście bananowca. Kto miał okazję spędzić noc podczas takiego trekku w dżungli, wie, że gdy zapada zmrok, nigdzie niebo nie jest tak gęsto usiane gwiazdami.

Miejscowa ludność przynosi stąd do wiosek m.in. chrust. W większości z nich życie toczy się w tradycyjny sposób (nie ma elektryczności) – mieszkańcy parają się rolnictwem, tkactwem, a niektórzy – destylacją ryżowej whisky.

Podróż z dżungli do wioski to nie łatwa wyprawa – teren jest górzysty, mocno zarośnięty, trzeba uważać na jadowite zwierzęta i owady, które roznoszą tropikalne choroby.

– Chińczycy chcieli wybudować nam drogę, która prowadziłaby od podnóża dżungli do pobliskich wiosek i miasteczka. Byłoby to wielkim ułatwieniem dla mieszkańców, ale w zamian zażyczyli sobie dostępu do lasu. Chodziło im oczywiście o wycinkę tropikalnego – bardzo mocnego i atrakcyjnego cenowo drewna. Złapaliśmy się za głowę! Przecież to jest obszar ściśle chroniony. Tu mieszkają dzikie zwierzęta, małpy, nawet dzikie koty. Gdzie one mają pójść? Ale oni tego w ogóle nie rozumieli. Drogi nie ma, inwestor wyjechał, a my zostaliśmy z niesmakami – wspomina przewodnik.

Tyle że chińska propozycja złożona w Laosie to typowe działanie inwestorów z tego kraju w Azji czy Afryce. Od lat działają oni według zasady „aid for oil”. Oni – bogaty kraj – budują infrastrukturę (choćby metro w Teheranie!) i dofinansowują rozwój biedniejszych państw w zamian za dostęp do ich złóż i surowców.

Jednak z biegiem wydarzeń – jak pandemia czy wojna w Ukrainie i narastający konflikt na linii Chi-

▼ **Filipiński archipelag Balabag. To m.in. tutaj Chińczycy próbują przejąć tereny od miejscowych**

FOT. DOMINIKA MACIEJASZ





ny – NATO – ekspansja ta oraz ich profil biznesowy za granicą się zmienia. W niepokojącym kierunku.

DLACZEGO CHINY SĄ TAK EKSPANSYWNE?

Ekspansywna polityka władz Chin ma przyczyny wewnętrzne.

O zmianach na rynku nieruchomości w Chinach opowiada nam Zhang Hao – Chińczyk mieszkający w Szanghaju, z dyplomem MBA uzyskanym w Anglii. Pracuje w firmie obracającej nieruchomościami, a jego specjalizacją są inwestycje zagraniczne.

– Obserwujemy spowolnienie na rodzimym rynku nieruchomości. Jest pięć powodów tego zjawiska. Pierwszy to niekończące się lockdowny w metropoliach jak Szanghaj, zamknięte granice. Drugi: polityka „zero COVID”, zastoje w fabrykach i zamknięcie portów, jak ten w Szanghaju, spowalniające gospodarkę, przez co mniejsze podmioty na rynku bankrutują – relacjonuje Zhang.

Kolejna przyczyna to coraz bardziej rygorystyczna polityka zakupu nieruchomości w metropoliach. Chiński rząd,

chcąc zastopować napływ siły roboczej ze wsi do miast, ogranicza migrację klasy robotniczej. Nie mają oni możliwości meldunku w miastach, co wiąże się m.in. z horrendalnymi kosztami zapisów dzieci do przedszkoli i szkół czy właśnie ograniczeniami w kupnie mieszkania.

Zasady nie są elastyczne. Na przykład w 24-milionowym Szanghaju przyjęto, że gdy liczba jego mieszkańców dobieje do 25 mln, władze zamkną miasto dla nowych osiedleńców.

– Czwarty ważny powód to coraz trudniejszy dostęp do kredytów hipotecznych. Banki nie są już tak chętne do ich udzielania, jest to związane z odgórnymi wytycznymi. Efekt: gdy popyt na nieruchomości maleje w kraju, rośnie za granicą. Obecny silny kurs yuana tylko temu trendowi sprzyja – kwituje Zhang.

Popyt na nieruchomości – oraz inwestowanie w szeroko pojęty rynek nieruchomości – za granicą więc rośnie, a Chińczycy mają za co inwestować. To naród, który w domowych zasobach zgromadził najwięcej oszczędności. W Chinach nie ma czegoś takiego jak indywidualne oszczędności pojedynczego Chińczyka – jest wspólny, domowy budżet. Rodziny mieszkają w modelu wielopokoleniowym (dziadkowe opiekują się wnukami, rodzice pracują, często do późnych por wieczornych), pieniądze całej rodziny gospodarowane są wspólnie. Mieszkania są w większości kupowane za gotówkę.

Ostatnia przyczyna jest od lat niezmienna – jest celem jest emigracja do krajów anglosaskich czy Europy. Na to trzeba jednak zapracować. Jak?

Obecnie bardzo popularny kierunek emigracji mieszkańców kraju jedwabiu i herbaty na Stary Kontynent to Grecja. Oferuje ona tzw. złote wizy (czyli zezwalające na przemieszczanie się do krajów wspólnoty) dla Chińczyków, którzy kupią tam nieruchomość za co najmniej 250 tys euro.

Otwarta znów na chińskich studentów Australia to także popularny cel – rodzice wysyłają tam dzieci na kierunki studiów, które znajdują się na liście zawodów potrzebnych na antypodach – czyli z możliwością uzyskania rezydentury w tym kraju. Dzieci dostają mieszkania, które służą także jako inwestycja.

WPŁYW WOJNY I NAPIĘC MIĘDZYNARODOWYCH

– NATO to organizacja wojskowa, która pręży mięśnie i wywołuje napięcia w re-

◀ **Podwodny pokaz z tradycyjnymi chińskimi smokami i syrenami dla uczczenia Chińskiego Nowego Roku w akwarium w Dżakarcie (Indonezja)**

FOT. DASRIL ROSZ-ANDI/ZUMA WIRE / SPLASHNEWS.COM / EAST NEWS

gionie Azji i Pacyfiku. Domaga się zimnej wojny w ramach konfrontacji blokowej – stwierdził niedawno podczas konferencji prasowej Zhao Lijian, rzecznik chińskiego MSZ.

Te ostre słowa to reakcja na wypowiedź Jensa Stoltenberga, sekretarza generalnego NATO, który stwierdził, że Chiny stoją po stronie Moskwy w wojnie w Ukrainie. – Pekin przyłącza się do Moskwy, kwestionując prawo narodów do wyboru własnej drogi. Stanowią systemowe wyzwanie dla bezpieczeństwa narodowego systemów demokratycznych – powiedział Stoltenberg.

Iskrzenie na linii Pekin – NATO dotyczy nie tylko rosyjskiej inwazji w Ukrainie, ale także sytuacji w rejonie Pacyfiku, która zaostrza się od lat. „Financial Times” opisał niedawno ekspansję Państwa Środka w tamtejszych wrażliwych lokalizacjach – skupowania ziemi przez spółki joint venture czy jej dzierżawy blisko państw sojuszników USA, na wyspach wzdłuż kluczowych morskich szlaków komunikacyjnych lub ważnych cieśnin i kanałów.

Przykładem są Wyspy Salomona na południowym Pacyfiku. China Sam Enterprise Group (chiński producent broni, powiązany z ministerstwem obrony tego kraju) już trzy lata temu próbowało wynegocjować z tamtejszymi władzami 75-letnią dzierżawę Tulagi – wyspy z naturalnym portem głębinowym. To miejsce strategiczne – służby tego kraju alarmowały wówczas, że Chiny chciały zbudować bazę wojskową w miejscu, które niegdyś gościły służby brytyjskie, baza marynarki wojennej Japonii i USA. Po interwencji prokuratury generalnej transakcja wykoleiła się, ale było to chwilowe.

W kwietniu 2020 roku firma przypuściła kolejną ofensywę i zarejestrowała tam swoją działalność jako inwestor zagraniczny, zamierzając opracować „studium możliwości rozwoju projektów morskich i infrastrukturalnych na dzierżawionych gruntach dla Marynar-

ki Wojennej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej z prawami wyłącznymi przez 75 lat”.

Ostatecznej umowy jeszcze nie podpisano, ale jak podaje „FT”, „wysiłki te nie pozostawiają wątpliwości, że Chiny szukają przyczółku dla swojej marynarki na południowym Pacyfiku, próbując rzucić wyzwanie dominacji USA i ich sojuszników w regionie”.

China Sam Enterprise Group ma być według „FT” jedną z wielu chińskich firm przeczesujących kulę ziemską w celu zabezpieczenia strategicznych pasów ziemi. W dziesiątkach przypadków zbadanych przez ich dziennikarzy chińscy inwestorzy proponowali branie długich dzierżaw lub próbowali kupować duże kawałki ziemi przy ważnych z militarnego punktu widzenia cieśninach i kanałach Pacyfiku.

Działania Chin porównują do Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i jej ekspansjonizmu kolonialnego.

Także sprawie Wysp Salomona „The Australian” poświęcił 22 kwietnia pierwszą stronę wydania. Dziennikarze na antypodach piszą o oskarżeniach wysuwanych pod adresem rządu w Australii, który nie zdołał zapobiec podpisaniu przez Wyspy Salomona otwartego porozumienia o bezpieczeństwie z Pekinem.

W tle tych „inwestycji” jest oczywiście spór o Tajwan, wspierany przez Stany Zjednoczone, który Chiny uważają za swoją zbuntowaną wyspę i głoszą, że przyłączenie go jest nieuchronne, bo to „ich ziemia”, na której żyją Chińczycy.

I o tę ziemię będą próbowali w przyszłości zaważyć. Kroki już poczyniono. W sierpniu 2019 r. firma Fong Zhi – chiński joint-venture – chciała przejąć kontrolę nad filipińską wyspą Fuga – leży ona na północ od cieśniny Luzon (to cieśnina Oceanu Spokojnego łącząca Morze Południowochińskie z Morzem Filipińskim, między wyspą Luzon i Tajwanem), jest częścią archipelagu Babuyan i drugim najbardziej wysuniętym na północ archipelagiem Filipin.

Chińczycy chcieli zbudować tam „inteligentne miasto” – projekt obejmujący technologie informacyjne, wykorzystywane w usługach publicznych, transporcie, a także do inwigilacji.

Położenie Fugi ma strategiczne znaczenie. To miejsce tranzytu okrętów Marynarki Wojennej Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i okrętów wojennych USA.

Jak na razie im się nie udało. Ale Chińczycy się nie spieszą. Jak mówią, chiński smok trwa w gotowości, cierpliwie czekając na swój czas, by powstać. ●

CO
JEST
GRANE

WOMEN'S VOICES

EDITION 2022

ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE/MYŚLIWIECKA 1

17-18/06

FESTIVAL

INSPIRED BY
ANSWEAR.COM

BRODKA

DARIA ZAWIAŁOW

ZAŁEWSKI

MARIA PESZEK

IGO

KARAŚ/ROGUCKI

NATALIA PRZYBYSZ I INNI

BILETY NA: EMPIK BILETY, GOING APP I EBILET

ORGANIZATORZY:

AGORA. wyborcza.pl

PARTNER GŁÓWNY:

answear.com

SPONSOR:

PERLA

PARTNER MERYTORYCZNY:

za'ks

PARTNER:

instax

PATRONI MEDIALNI:

HELIOS

K

MAG

HIRO

ROZMOWA Z
KRZYSZTOFEM CYBRUCHEM
szefem Food Hall Poland

RAFAŁ PIKUŁA: Dwa lata pandemii to był bardzo trudny czas dla branży gastronomicznej. Kolejne lockdowny, kryzysy ekonomiczne. Wiele restauracji nie przetrwało tej próby.

KRZYSZTOF CYBRUCH*: Wszystko się zmieniło. Po pewnym czasie obserwowania życia po pandemii widać gołym okiem, że rynek ukonstytuował się na nowo. Nadal jest w fazie naprawy. Ci, którzy zakasali rękawy, którzy postawili na ultrakreatywność, transformację – przetrwali. Ci, którzy liczyli, że jakoś przetrzymają siłą rozpędu – upadli. Pandemia powiedziała branży: sprawdzam.

Rynek sam wyczyścił się z wielu kiepskich restauracji i to jest akurat dobre. Oczywiście kiepskie burgerownie i jako takie pizzerie pozostały, bo takie typowe jedzenie z dostawą miało się nieźle. Byli i tacy, którzy i w pandemii otwierali podobne przybytki.

Najtrudniej było restauracjom premium, dla których ważna jest cała otoczką, sztuka podania, klimat, cała opowieść o jedzeniu. Tam każdy szczegół miał znaczenie – od wystroju po menu. W pandemii, w dobre jedzenia na wynos, trudno było zdigitalizować cały ten entourage.

– To było wielkie wyzwanie, jak zamknąć w dostawie wszystko to, co stanowiło o sile marki. Jak zapakować danie, które na talerzu było dziełem sztuki? Jak przekazać doświadczenie i elegancję kelnerów?

Na szczęście te restauracje, które miały sprawdzoną, wierną bazę klientów, przekonały ich, że warto z nimi zostać. Postawiły na eleganckie pakowanie jedzenia, właściwą komunikację w sieci. Zdarzało się, że kelnerzy restauracji sami dowozili jedzenie.

Niekiedy z dostawą przyjeżdżał sam właściciel, którego klient miał okazję poznać, i to była ogromna wartość, budowanie relacji na nowo.

Nie wszystkim oczywiście chciało się tak starać. Dla wielu to był moment refleksji: prowadzić ten biznes czy zrezygnować?

Dla wielu restauratorów to był świetny moment, by zakończyć tę przygodę życia.

– Tak, bo ten rynek pełen był patologii, amatorszczyzny, mnóstwo było restauracji czy barów, które nie dość, że oferowały kiepskie jedzenie, to jeszcze były fatalnie zarządzane.

Półowa właścicieli restauracji w Polsce nie wie nawet, ile zarabia. Z czego to się bierze? Z głupoty, nonszalancji, lenistwa. Bardzo często ktoś ma oprócz restauracji kilka innych biznesów i te inne biznesy pokrywają mu koszty fatalnie funkcjonującego lokalu.

A już prawie nikt nie liczy marżowości dania, nie analizuje, jakie dania się sprzedają i dlaczego. Często brakuje podstawowej analityki.

Zostałem zaproszony do jednego biznesu gastronomicznego, żeby zrobić audyt. Okazało się, że restauracja była 900 tysięcy złotych na minusie. Właściciele nie zdawali sobie z tego sprawy, bo księgowi opłacali straty z innego, bardziej dochodowego biznesu.

Skąd takie kolosalne straty?

– Okazało się, że problemem był... dobry i ambitny kucharz. Miał wizję, swój pomysł na dania, funkcjonowanie lokalu i kompletnie nie liczył się z kosztami. Zamawiał najlepsze produkty – i to jest okej – ale one się marnowały.

Z drugiej strony właściciele tej restauracji, promując lokal, w ogóle nie uwypuklali roli kucharza. Oparli marketing na influencerkach, Instagramie, a prawdziwą wartością był ten kucharz właśnie. Wystrój lokalu, który był pomysłem właścicielki, pasował do taniego cocktail-baru. Szefowie nie potrafili dobrze zdiagnozować swoich mocnych stron. Mieli talent na kuchni, ale reszta elementów biznesu leżała.

Pandemia sprawiła, że takie drobiazgi, na które wcześniej nie zwracało się uwagi, mogły stanowić o być albo nie być lokalu.



Pandemia zatopiała słabe biznesy. I dobrze

– Półowa właścicieli restauracji nie wie, ile zarabia. A już prawie nikt nie liczy marżowości dania, nie analizuje, jakie dania się sprzedają i dlaczego. To głupota, nonszalancja, lenistwo – opowiada Krzysztof Cybruch, szef Food Hall Poland.

– W gastronomii, tak jak w wielu branżach, jeśli się nie rozwijasz, to się cofasz. Są tacy restauratorzy, którzy od lat nie zmieniają nic, ani oferty, ani załogi. Myślą, że jeśli coś sprawdzało się przez dekady, to będzie działać. Ale drobne zmiany, odświeżanie to konieczność.

Popatrz chociażby na kultową knajpę U Fukierra Magdy Gessler. Niby wciąż jest ten sam klimat, rustykalny, pasujący do warszawskiej Starówki, ale tam ciągle pojawiają się drobne zmiany, unowocześnienia, oryginalne sezonowe potrawy. Tradycja jest dobra, jeśli nie ogranicza się do schabowego z kapustą, ale niesie ze sobą prawdziwą wartość, opowieść.

No i nawet w najbardziej tradycyjnej restauracji nie obejdziesz się bez technologii.

...I pandemia to unaoczniała.

– Tak, w pandemii trzeba było dokonać szybkiej transformacji cyfrowej. Bycie online stało się przymusem, nie opcją.

*W foodhallu właściciele
biznesów są razem.*

*Mogą wspólnie negocjować
czynsz z właścicielem
hali, wspólnie myślą nad
komunikacją, ponoszą tylko
częściowo koszty utrzymania
czy promocji lokalu.*

*W ramach większej całości
są gospodarzami wydarzeń
kulturalnych*

Oczywiście ci, którzy jeszcze przed pandemią prowadzili ciekawą komunikację w mediach społecznościowych, mieli ładną stronę internetową, własną dostawę, mieli łatwiej.

Jednak ci, którzy postawili na przyspieszoną cyfryzację, też nie stracili. Jeśli przetrwali, to znaczy, że fajnie zbudowali komunikację cyfrową, rozwinęli sprzedaż online, która po pandemii uzupełnia obsługę stacjonarną.

Jednym z niewielu segmentów, które się rozwijały pomimo pandemii i jako tako funkcjonowały, często na granicy prawa, były foodhalle – duże przestrzenie, gdzie mieści się wiele formatów gastronomicznych. Warszawska Hala Gwardii czy Koszyki pozwalały zjeść na mieście pomimo obostrzeń.

– O tym nie wiem, wiem za to, że pandemia pokazała, jak ważne z perspektywy ekonomicznej są foodhalle dla branży.

Chodzi o to, że w momencie kryzysu tradycyjny restaurator jest sam. Musi opłacać lokal, myśleć nad zmianą strategii marketingowej, sam musi wykombinować alternatywne usługi.

W foodhallu właściciele biznesów są razem. Mogą wspólnie negocjować czynsz z właścicielem hali, wspólnie myślą nad komunikacją, ponoszą tylko częściowo koszty utrzymania czy promocji lokalu.

W ramach większej całości są gospodarzami wydarzeń kulturalnych, a sama pojemność miejsca znacznie wykracza ponad możliwości pojedynczych lokali na mieście. Współdzielą zaplecza czy profesjonalne zmywalnie, na które większości właścicieli biznesów gastronomicznych nie stać w pojedynkę.

Foodhall to świetny przykład ekonomii współdzielenia w branży gastronomicznej. Ten trend jest w Polsce na początku drogi, ale szybko się rozwija: w Warszawie po Koszykach mamy Halę Gwardii, Elektrownię

◀ **Krzysztof Cybruch, szef Food Hall Poland** FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Powisłe i teraz Fabrykę Norblina. Jestem bardzo ciekawy, co przyniosą najbliższe lata.

Myślę, że foodhalle pasują też do dzisiejszego konsumenta, zanurzonego w cyfrowym świecie, który filmy ogląda na Netflixie, muzyki słucha na Spotify, kupuje na Zalando. Wszystko prosto, łatwo, na żądanie.

– Nie myślałem nigdy o tym w ten sposób, ale tak. Foodhalle są platformą restauracyjną. Wybierasz spośród wielu opcji, szybko i na miejscu. Tak jak oglądasz serial w piżamie w łóżku – choć w piżamie nie pójdziesz do kina – tak samo w foodhallu możesz nie przejmować się za bardzo konwenansami. Bez spiny, na luzie.

Jedzenie w restauracjach jest elementem stylu życia, a my chcemy żyć coraz wygodniej. Foodhalle dają do wyboru dużo doświadczeń kulinarnych, zaspokajają różne kulinarne nastroje. Nie musisz chodzić od restauracji włoskiej do azjatyckiej, z azjatyckiej do amerykańskiej, bo wszystkie masz koło siebie. I też dlatego ten rynek rośnie. W Stanach Zjednoczonych jest to wzrost rok do roku o 40 proc. i nic nie wskazuje na to, żeby słupki miały hamować.

Bardzo często foodhalle powstają w ciekawych architektonicznie miejscach. W Warszawie są to wspomniana chociażby Elektrownia Powisłe czy Fabryka Norblina, w Gdańsku teren dawnej stoczni, w Krakowie pofabryczne tereny Zabłocia.

– W Stoczni Gdańsk przygotowuję projekt foodhallu w zabytkowej hali montażowej u-bootów, więc to będzie naprawdę ciekawe miejsce w Polsce, nie tylko pod względem architektonicznym.

W foodhallu nie chodzi tylko o jedzenie, to ma być doświadczenie towarzyskie, estetyczne, kulturalne. Chodzi o bliskość. Żeby przy okazji śniadania czy kolacji poznawać się i poznawać historię nietuzinkowego budynku, czy w przypadku Stoczni – całej okolicy. Dlatego foodhalle powstają w miejscach z duszą.

W pandemii turyści, którzy zdecydowali się odwiedzić Warszawę, potrafili godzinę stać w kolejce do Hali Gwardii, żeby tylko zjeść w ciekawej przestrzeni.

Zaczełliśmy rozmowę o pandemii, która faktycznie się w Polsce kończy – patrząc na narrację polityków – ale po koronawirusie uderzył kolejny kryzys, tym razem związany z wojną. Jak ona wpłynie na branżę?

– Wojna w Ukrainie dużo namiesza. Z jednej strony mamy niewielki odpływ pracowników płci męskiej, którzy wrócili walczyć o kraj, z drugiej ogromny napływ uchodźczyń i uchodźców, w większości kobiet z dziećmi. Panie mogą szybko znaleźć zatrudnienie w wielu lokalach. Jeśli pokonają granicę języka, bardzo szybko mogą uzupełnić wakaty w branży, a te po pandemii są duże.

W ubiegłym roku restauratorzy stawali na głowie, żeby zdobyć pracowników – wielu kucharzy, kelnerów, baristów zrezygnowało z pracy w gastro lub zostało zwolnionych i przebranżowiło się. Nie chcieli wracać do zawodu, który jest niepewny, bo rząd w każdej chwili może ogłosić kolejny lockdown, a właściciel biznesu obciąć pensję albo zlikwidować stanowisko pracy.

Oczywiście można się spodziewać, że część Ukrainek zostanie w Polsce i otworzy swoje restauracje, nowe miejsca. Na warszawskiej Pradze już z końcem marca powstał Garmaż od Ukrainek, lokal serwujący tylko kuchnię ukraińską przygotowywaną przez Ukrainki. Na pewno w dłuższej perspektywie takie pomysły i restauracje ubogacą rodzimą ofertę gastronomiczną, na co bardzo liczę. ● Rozmawiał **Rafał Pikuła**

***Krzysztof Cybuch** jest od ponad dziesięciu lat związany z branżą kulturalno-gastronomiczną. Twórca m.in. Targu Śniadaniowego oraz Food Hall Montowni w Stoczni Gdańskiej.

Prestiżowe studia na kredyt od państwa

Rząd chce płacić za studia medyczne tym, którzy nie dostali się na miejsca darmowe. 6 dowodów na to, że celuje kulą w płot

Patrycja Maciejewicz

Pamiętacie serial „Przystanek Alaska”? Dla miłośników telewizji lat 90. to może być kultowa scena. Do małej mieściny na Alasce przylatuje Joel Fleischman, nowojorczyk, świeżo upieczony lekarz. W Cicely będzie „na zesłaniu” – ma odpracować lata studiów medycznych – i odbędzie mentalną pielgrzymkę, od niezdarne go buca z aspiracjami do znośnego perfekcjonisty zakochanego w slow life.

Wielu wtedy zadawało sobie pytanie: skoro nawet w Ameryce trzeba odpracować na rzecz państwa swoje drogie studia, to dlaczego taki model nie działa u nas? Pytanie to potęgowało się z każdą falą emigracji medyków. Być może dziś część tych osób odetchnie, bo podobny system ma obowiązywać i w Polsce.

Zejdźmy jednak z Alaski na ziemię. Podobieństwo jest tylko pozorne.

PARADOKS PIERWSZY: SĄ RÓWNI I RÓWNIJSI

Edukacja jednego studenta medycyny kosztuje około 200–250 tys. zł. To jedne z najdroższych studiów, długo opierające się digitalizacji, urealnianiu kosztów i produkowaniu zastępów absolwentów z papierkiem. Ale wraz z pogłębiającym się kryzysem ochrony zdrowia, wraz z rosnącą wartością rynkową każdego specjalisty, medycyna stała się jeszcze bardziej pożądanym kierunkiem studiów.

Uczelnie medyczne stworzyły coś w rodzaju drugiego obiegu edukacyjnego: studia niestacjonarne. Na wzór edukacji zaocznej na innych kierunkach studiowanie jest płatne. I to słono. Każdy semestr na państwowej uczelni medycznej kosztuje około 25 tys. zł.

Istota paradoksu polega jednak na tym, że płacący są wymieszani z tymi, którzy dostali się na darmowe miejsca. Uczą się dokładnie w tym samym czasie, we wspólnych grupach, nie wiedząc za wiele o swoim statusie. Za ten sam standard edukacji płaci się lub nie.

– Uczelnie przyjmują coraz więcej studentów w trybie niestacjonarnym. Na WUM to już chyba drugie tyle co miejsc darmowych. Potęguje to zągęszczenie na zajęciach, zwłaszcza klinicznych – opowiada Magdalena, studentka 4. roku, sama także płacąca. Nie jest zadowolona, bo jakość kształcenia spada.

PARADOKS DRUGI: KAŻDY WYKSZTAŁCI LEKARZA

2 Trwa prawdziwy festiwal kreatywności, jak sprawić, by emigrujący lekarze nie po-

głębiali kryzysu tej branży. Postanowiono zwiększyć podaż studentów medycyny.

PiS przeforsował przepisy, na mocy których ich kształcenie będzie możliwe także w wyższych szkołach zawodowych, które do tej pory specjalizowały się w studiach na kierunkach typu administracja, pedagogika czy dietetyka.

Sejm uchwalił ustawę umożliwiającą zawodówkom, czyli państwowym wyższym szkołom zawodowym, otwarcie studiów na kierunku lekarskim i lekarsko-dentystycznym. W rządowej przepychance argumenty ministra zdrowia Adama Niedzielskiego przegrały z argumentami ministra edukacji Przemysława Czarńka. Swoje wydziały lekarskie mogą otwierać też ogólne uniwersytety, np. Uniwersytet Warszawski.

Są już też pierwsze prywatne uczelnie kształcące lekarzy – jak Uczelnia Łazarskiego (semestr – 32 tys. zł) czy Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego (22 tys. zł).

Dotychczasowym uczelniom medycznym nie bardzo się to podoba. Oprotestowały projekt, ale resort zdrowia pozostał nieugięty.

PARADOKS TRZECI: KREDYTÓW NIE MA

3 Nowe przepisy miały pozwolić skredytować płatne studia już w tym roku akademickim. Zmiany w ustawie zostały uchwalone jeszcze w 2021 r. Ale solą tego projektu miało być rozporządzenie, które dokładnie określi warunki finansowania i umarzania kredytów. Obowiązuje od 1 kwietnia. Warunki udzielenia kredytu nie różnią się w zasadzie od wstępnych zapowiedzi na ten temat. Kinga Szymkiewicz z biura prasowego Banku Gospodarstwa Krajowego (który ma być państwowym operatorem współpracującym z bankami komercyjnymi) wymienia:

- studia na kierunku lekarskim w języku polskim na warunkach odpłatności;
- maksymalny okres kredytowania: 6 lat;
- wyplacie transz: 2 razy w roku na rachunek uczelni;
- spłata kredytu: 12 lat;
- oprocentowanie: marża maksymalnie 2 pkt proc. + 1,2 stopy re-dyskontowej weksli NBP – dziś daje to łącznie 7,46 proc.;
- dopłata do odsetek: 100% – w okresie studiów i 12 lat po ich ukończeniu, w czasie spłaty kredytu 50%;
- umorzenie: pod pewnymi warunkami. O tym za chwilę.

Wiceminister Piotr Bromber pod koniec 2021 roku zapewniał, że rozmowy toczą się z trzema bankami. Dziś już jest mowa tylko o jednym.

– Kredyty na studia medyczne zostaną uruchomione w momencie,



• **Studenci pierwszego roku medycyny ćwiczą szycie na nogach świńskich**

FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ile kosztują studia medyczne

250

TYS. ZŁ

• **Tyle kosztuje wykształcenie jednego lekarza na studiach**

32

TYS. ZŁ

• **Tyle kosztuje semestr studiów prywatnych**

23

TYS. ZŁ

• **Tyle kosztuje semestr płatnych studiów na uniwersytecie medycznym**

18

TYS. ZŁ

• **Tyle rząd chce kredytować za semestr na studiach płatnych**

Podano maksymalne kwoty

kiedy BGK podpisze umowę z ministerstwem, a następnie z bankiem kredytującym. Aktualnie jesteśmy mocno zaawansowani w rozmowach z jednym z dużych banków komercyjnych – mówi nam Szymkiewicz. Według naszych informacji chodzi o Pekao SA, w którym dokumenty dotyczące kredytów dla medyków krążą od dobrych kilku tygodni. I nic.

Rok akademicki się kończy.

PARADOKS CZWARTY: CYROGRAF TYLKO DLA WYBRANYCH

4 Według wiceministra Brombera co roku kredyt będzie mogło zaciągnąć po tysiąc osób w każdym roczniku (tysiąc na pierwszym roku, tysiąc na drugim itd.). Kredyt można zaciągnąć tylko raz, ale finansowanie studiów trwa, o ile student wciąż jest w reje-strach uczelni, zdaje egzaminy itd.

Najwięcej kontrowersji i dyskusji budzą owe warunki umorzenia

kredytu. Są one dwa: przepracowanie 10 lat w publicznej służbie zdrowia w ciągu 12 lat od ukończenia studiów oraz wybranie specjalizacji priorytetowej.

Budzi to dwie wątpliwości środowiska. Pierwsza to obawa, że resort zdrowia tylnymi drzwiami wprowadza opłaty na – wciąż konstytucyjnie bezpłatnych – studiach. Druga: kto nie ma szczęścia dostać się na studia bezpłatne, może być zmuszony do podpisania cyrografu z ministerstwem. Resort zdrowia w publicznej służbie zdrowia chce bowiem zatrzymać tylko tych, którym studia kredytuje (a potem umarza). Szczęściarze z początku list przyjętych nie muszą się tym martwić.

Jest jeszcze problem dostępnych miejsc na specjalizacjach, w których mamy chroniczny brak lekarzy. Nie zawsze są to takie specjalizacje, na które nie ma chętnych. – Brakuje na przykład endokrynologów, ale to dlatego, że nie są otwierane dla nich miejsca specjalizacyjne. Tego problemu Ministerstwo Zdrowia nawet nie dotyka – mówi Mateusz Szulca, szef Porozumienia Rezydentów.

Te prawdziwie deficytowe specjalizacje – jak interna czy chirurgia – mają zaś ten defekt, że skazują praktycznie na pracę w publicznym systemie, gdzie pensje są niższe, a praca z wielu powodów trudniejsza niż w prywatnym. A to – co oczywiste – zniechęca.

PARADOKS PIĄTY: CHĘTNI I TAK WYJADA

5 Minister Bromber zapewnia, że ofertą Polska zamierza nie tylko zwiększyć liczbę lekarzy w systemie ochrony zdrowia, ale też zmniejszyć emigrację.

Fakt, finansowanie najdroższych studiów osobom, które potem wybiorą pracę na rzecz zachodniego podatnika, nie jest zbyt intratnym kontraktem. Tyle tylko, że wyjścia, które ministerstwo proponuje, są złe lub jeszcze gorsze.

Trudno uznać, by nawet studia na płatnym kierunku do emi-

gracji zniechęcały. – Po prostu student wkalkuluje sobie spłatę kredytu w swój plan finansowy. Zapewniam, że zarabianie w euro doskonale to umożliwi. Zatem nieważne, czy ktoś studiuje bezpłatnie, czy za pożyczzone. Jeśli będzie chciał wyemigrować, to i tak to zrobi, dopóki pensje w Polsce nie staną się konkurencyjne, a lekarze będą straszeni, że za popełnione błędy będą srogo karani – mówi Szulca.

Przypomina, że w Sejmie leży projekt ustawy zaostrzający kary za nieumyślne spowodowanie uszczerbku na zdrowiu.

PARADOKS SZÓSTY: PRYWATNE SZKOŁY Z KASY PUBLICZNEJ

6 Naszym rozmówcom z uniwersytetów medycznych nie umyka fakt, że do publicznego systemu finansowania dostają się w ten sposób szkoły niepubliczne.

Mimo telefonów i wysłania pytań do kilku uczelni prywatnych od większości nie dostaliśmy odpowiedzi. Tylko jedna odpisała na maila. – Nie będziemy komentować tego tematu – napisała Sylwia Wrzosek z Uczelni Łazarskiego.

Na nasze pytania nie odpowiedziało też Ministerstwo Zdrowia.

Z szacunków resortu zdrowia wynika, że średnia dopłata do roku nauki wyniesie około 18 tys. zł. To mniej, niż szkoły pobierają od studentów. – Jeśli pieniądze z budżetu kierujemy do sektora prywatnego, to pojawia się pytanie, czy nie występuje jakiś konflikt interesów. Czy przypadkiem ktoś nie był tym wyjątkowo zainteresowany? – dopytuje Szulca.

Szef Porozumienia Rezydentów podkreśla, że produkowanie studentów medycyny i dawanie ludziom nadziei na wymarzone studia to za mało. Tym bardziej że już teraz przyjmowanych jest więcej studentów, a progi przyjęć na studia spadły. Trzeba jeszcze zapewnić im możliwości rozwoju, coś więcej niż uwiązanie do publicznej placówki, godną płacę i więcej pieniędzy na ochronę zdrowia, które przełożą się na jakość kształcenia i leczenia. ●

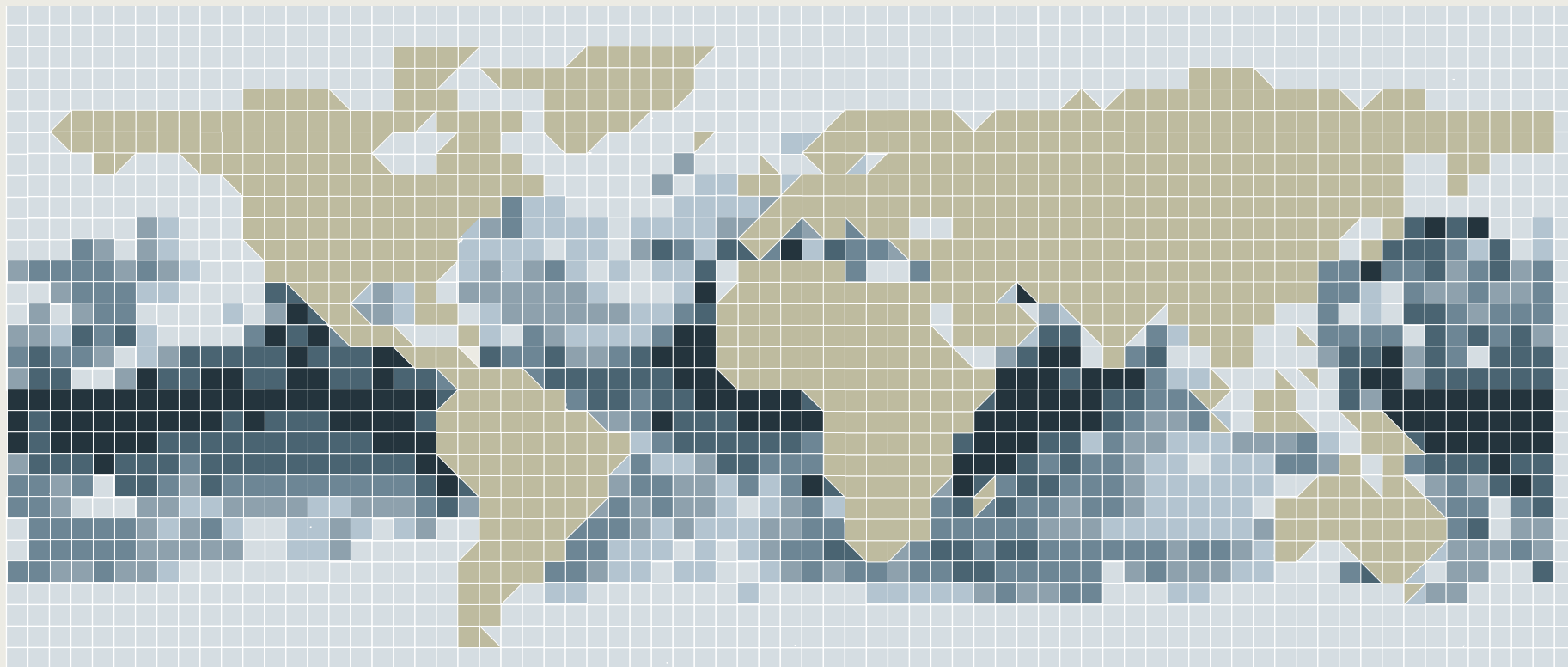
Majówka z puszką w plecaku

Jak wybrać dobrego tuńczyka

Skąd przyływają nasze tuńczyki?

Tereny połowów i masa pozyskiwanych rocznie ryb, w tonach

0 - 50 50 - 250 250 - 1000 1000 - 5000 5000 - 250000



Przeciętny Polak w ciągu roku zjada nieco ponad pół kilograma tuńczyka.

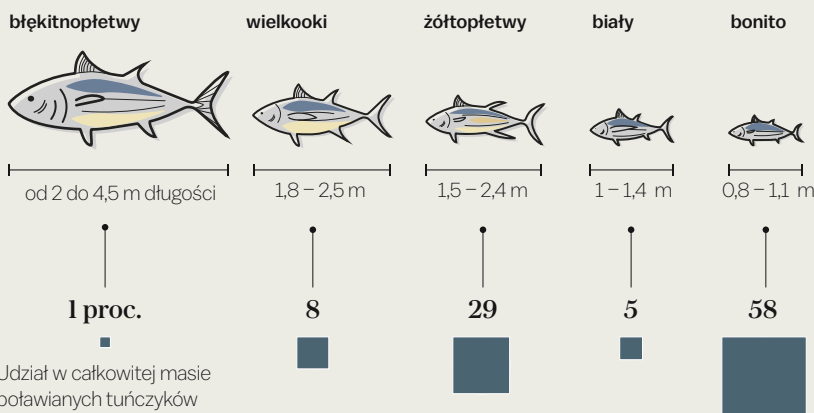
Alicja Gadomska
Katarzyna Korzeniowska

2 maja to Światowy Dzień Tuńczyka - ryby, którą kojarzymy głównie z puszką, i z której globalnego znaczenia często nie zdajemy sobie sprawy. W ciągu ostatnich 70 lat masa poławianych tuńczyków wzrosła ok. dziesięciokrotnie – od kilku lat przekracza 5 mln ton rocznie. Poławianie tuńczyków, ich przetwórstwo i produkcja pozwalają się utrzymać kilku milionom ludzi na świecie, światowy rynek tuńczyka już dziś wart jest ponad 11 mld dolarów i wciąż dynamicznie się rozrasta. Tak duży popyt na tuńczyki wymaga regulacji połowów, dbania o zachowanie zasad zrównoważonego rybołówstwa. A my mamy wybór, na jaki produkt wydamy swoje pieniądze.

W oceanach poławia się głównie siedem gatunków tuńczyków, które różnią się od siebie m.in. rozmiarami, czasem dojrzewania, a ich mięso smakiem. Najbardziej spektakularnym z nich jest osiągająca wagę nawet 700 kilogramów i długość 4 m tuńczyk błękitnopletwy (trzy gatunki). Ta niezwykła ryba może osiągać cenę nawet kilku milionów dolarów za sztukę. Jej mięso sprzedawane jest głównie do Japonii, gdzie wykorzystywane jest do sushi i sashimi. Podobne zastosowanie do tuńczyka błękitnoptetwego znajduje nieco tańszy i mniejszy (ok. 200 kg) tuńczyk wielkooki (opastun). W postaci mięsa surowego lub filetów sprzedaje się zazwyczaj szybko rozmnażające się, ważące mniej niż 200 kg tuńczyki żółtopletwe, w postaci steków lub przetworów – tuńczyki białe. Najbardziej popularnym gatunkiem zarówno na świecie, jak i w Polsce jest jednak tuńczyk bonito – ryba osiągająca wagę „zaledwie” 35 kg, szybko dojrzewająca i stosunkowo tania. To właśnie bonito zwykle ląduje w naszych puszkach.

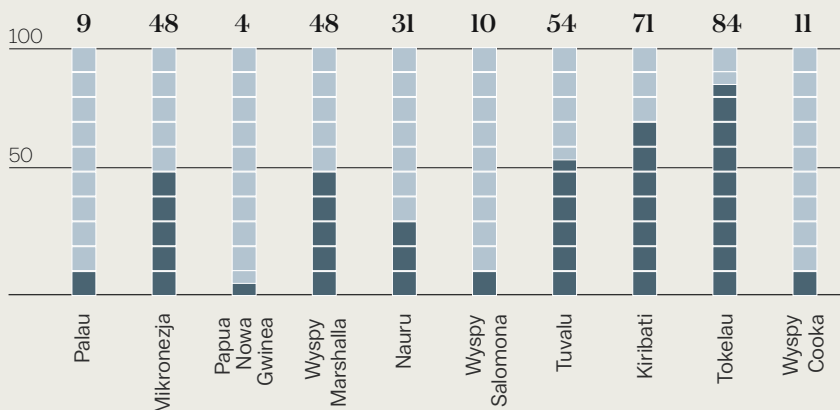
Tuńczyki żyją w stadach. Podążając za dostępnością pokarmu, w ciągu roku

Najmniejszy tuńczyk poławiany jest najczęściej



Wiele państw wyspiarskich żyje z połowów tuńczyka

Udział w przychodach państwa (proc.)



ŹRÓDŁA: MARINE STEWARDSHIP COUNCIL, FAO: FIRMS (FISHERIES AND RESOURCES MONITORING SYSTEM)

migrują na tysiące kilometrów, przemierzając wody różnych jurysdykcji. Należące do jednego stada ryby poławiane są na wodach zarówno międzynarodowych, jak i krajowych, często w bardzo odległych od siebie zakątkach. Obecnie tuńczyki poławia się z 23 takich stad. Odpowiednie „zarządzanie” migrującymi stadami wymaga decyzji podejmowanych na poziomie międzynarodowym, w tym celu na świecie utworzono pięć regionalnych organizacji ds. rybołówstwa. Pracujący w granicach ich działania rybacy na podstawie

danych z monitoringu i stanu stad powinni dostosować swoje działania tak, by ich połowy miały charakter zrównoważony i nie doprowadzały do przelowienia stad.

– Organizacja Marine Stewardship Council we współpracy z m.in. z naukowcami i rybakami opracowała standard, na podstawie którego niezależni audytorzy weryfikują, czy dane połowy spełniają najbardziej rygorystyczne globalne wymogi środowiskowe. Rybacy, którzy pomyślnie przejdą wielomiesięczny proces oceny, otrzymują certyfikat zrównoważonego

rybołówstwa MSC – wyjaśnia Joanna Ornoch z tej organizacji. – Dzięki temu, widząc na produktach niebieski znak MSC, mamy pewność, że ryby zostały złowione w sposób zrównoważony, z troską o zachowanie odpowiedniej liczebności, struktury wiekowej i biomasy ryb. Certyfikat gwarantuje nam także, że rybołówstwo, z którego pochodzi nasza ryba, jest odpowiednio, długoterminowo zarządzane, a sposób prowadzenia połowów nie oddziałuje negatywnie na cały ekosystem, a więc nie zagraża siedliskom morskim oraz innym zwierzętom takim jak np. żółwie czy delfiny.

Dziś już blisko 30 proc. światowych połowów tuńczyka posiada Certyfikat Zrównoważonego Rybołówstwa MSC, a kolejnych 20 proc. jest w trakcie procesu oceny.

Polska importuje ponad 13 tys. ton tuńczyka rocznie, wartość importu przekracza 215 mln złotych. Tuńczykowe produkty sprowadzamy głównie z Niemiec, Ekwadoru, Filipin czy Hiszpanii. Prawdopodobnie większość trafiających do Polski tuńczyków pochodzi ze stad żyjących na Pacyfiku. Dla krajów wyspiarskich zachodniego i środkowego Pacyfiku rybołówstwo oraz opłaty pobierane od zagranicznych operatorów za połowy tuńczyków stanowią jedno z głównych źródeł utrzymania. W przypadku 10 państw wpływy z połowów zapewniają nawet 37 proc. państwowych dochodów.

Zmiany klimatu mogą jednak mocno wpłynąć na gospodarki państw wyspiarskich. – Temperatura powierzchni wód oceanu wzrasta, co oprócz podnoszenia się powierzchni oceanów ma wpływ również na piramidę pokarmową pod jej powierzchnią, u której szczytu znajdują się m.in. tuńczyki – tłumaczy dr Marta Potocka z Marine Stewardship Council. – Podniesienie temperatury wody powoduje zmiany w rozmieszczeniu wielu organizmów morskich, które naturalnie podążają za najbardziej optymalnymi dla siebie warunkami środowiskowymi. Tak dzieje się również z gatunkami stanowiącymi pokarm tuńczyków, a co za tym – również powoduje przemieszczanie się całych stad tych ważnych ekonomicznie ryb – dodaje. ●

• Więcej na [BIQdata.pl](#)

Minister sprawiedliwości chce zyskać dyktatorską władzę

– Mam nieodparte wrażenie, że sądy regionalne mają być bastionem ministra sprawiedliwości po to, aby w razie jakiegoś niespodziewanego niezależnego orzeczenia sądu pierwszej instancji wszystko można było odkręcić – ostrzega Michał Wawrykiewicz, adwokat z Inicjatywy Wolne Sądy.

Ewa Ivanova

We wtorek Rządowe Centrum Legislacji opublikowało flagowy projekt Ministerstwa Sprawiedliwości całkowicie wywracający dotychczasową strukturę sądów. To oznacza, że przepisy weszły na ścieżkę legislacji i ustawa będzie procedowana.

ROZMOWA Z
MICHAŁEM WAWRYKIEWICZEM
adwokatem z Inicjatywy Wolne Sądy

EWA IVANOVA: Ministerstwo Sprawiedliwości przedstawiło projekt nowego prawa o ustroju sądów powszechnych. W wielkim skrócie: zamiast trzech szczebli (318 sądów rejonowych, 46 okręgowych i 11 apelacyjnych) mamy mieć tylko dwa: sądy okręgowe z oddziałami (79) i regionalne (20). Status wszystkich sędziów ma być równy, a różnice w wynagrodzeniach mają wynikać ze stażu i dodatków. Dlaczego według pana ten projekt to pomysł na unicestwienie niezależnego sądownictwa w Polsce?
MICHAŁ WAWRYKIEWICZ: Za sprawą tych przepisów gigantyczną, wręcz dyktatorską władzę zyskuje w sądownictwie minister sprawiedliwości i prokurator generalny. I nie jest to tylko władza czysto organizacyjna i administracyjna. Minister uzyskuje ogromny wpływ na funkcjonowanie sądów, na status sędziów i ich miejsce w strukturze sądownictwa, możliwość ich przemieszczania i delegowania, unicestwienie roli samorządu oraz podległość sędziów funkcyjnych.

Już dotychczas minister na podstawie obowiązującej ustawy dysponował ogromną władzą, ale teraz jego wpływy miałyby się znacznie poszerzyć. Projekt ustawy wraz z przepisami wprowadzającymi ogranicza niezależność sędziowską do minimum. Właściwie ją unicestwia. Nowy system, po przebudowie, ma być umeblowany tak, jak sobie obecna władza – a przede wszystkim minister sprawiedliwości i jego otoczenie – życzy.

Dlaczego spłaszczenie struktury stanowić zagrożenie?

– Prawdziwym celem tego projektu jest doprowadzenie do sytuacji, kiedy wszyscy sędziowie w Polsce będą zweryfikowani przez obecną nową Krajową Radę Sądownictwa, czyli organ upolityczniony. Organ, który nie spełnia ani przesłanek konstytucyjnych, ani wymagań europejskich. Neo-KRS ma napaść wszystkich polskich sędziów. Efekt? Wadliwość ex lege wszystkich orzeczeń wydawanych przez polskie sądy, gigantyczna, wręcz niewyobra-

żalna fala skarg obywateli i innych stron procesów do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, setki milionów odszkodowań z pieniędzy obywateli i jeszcze większy niż dzisiaj chaos w sądownictwie, brak jakiegokolwiek stabilności.

Konstruowanie nowej struktury sądownictwa, które nazywa się spłaszczeniem, jest bardzo niebezpieczne, bo minister, jak wspomniałem, zyskuje przy tej okazji szereg uprawnień do rozlokowania sędziów według własnego uznania.

Zresztą sam pomysł spłaszczenia struktury jest zły. Dotychczas sprawy prostsze były rozpoznawane w sądach rejonowych, a sprawy znacznie bardziej skomplikowane w pierwszej instancji – w sądach okręgowych. I tak samo apelacje w prostych sprawach trafiały do wydziałów odwoławczych sądów okręgowych, a apelacje w sprawach skomplikowanych rozpatrywane są w sądach apelacyjnych. Taki model został wypracowany przez kilkadziesiąt lat i dotąd się sprawdzał.

Wszyscy sędziowie mają stać się sędziami sądów powszechnych. Nie będzie sędziów szczebla rejonowego, okręgowego, apelacyjnego. Ma zniknąć problem awansów i wspinania się po szczeblach hierarchii.

– Ale minister w ramach swoich szerokich uprawnień będzie mógł przesunąć obecnych sędziów sądów rejonowych do sądów regionalnych, czyli tych, które będą zajmowały się sprawami najważniejszymi z punktu widzenia władzy politycznej. A setki sędziów obecnych sądów apelacyjnych, czyli sędziów najbardziej doświadczonych, tych, którzy przeszli całą długą drogę kariery i zdobywania doświadczenia od rejonu po apelację i którzy orzekają w najbardziej skomplikowanych sprawach, minister będzie mógł przesunąć na sam dół, czyli do sądu okręgowego zrównanego z obecnym rejonem, gdzie będą się zajmować najprostszymi sprawami. A jak nie będą chcieli, to mogą odejść w stan spoczynku, czyli na emeryturę.

Dzisiejszy sędzia sądu apelacyjnego, który rozpoznaje np. apelacje z zakresu prawa cywilnego w wielomiliardowych skomplikowanych sporach cywilnych, będzie mógł być przesunięty do nowego sądu okręgowego, gdzie będzie się zajmował sporem o miedzę, w pierwszej instancji. I odwrotnie. Absurd.

To skłania mnie do konstatacji, że minister sprawiedliwości chce instrumentalnie poustawić wszystkich sędziów: tak aby na górze w hierarchii byli jego lojalni ludzie, którzy będą wydawać orzeczenia pod całkowitą kontrolą władzy. Mam po lekturze projektów nieodparte wrażenie, że sądy regionalne



• To szatański pomysł – ocenia Michał Wawrykiewicz

mają być takim bastionem ministra sprawiedliwości i obecnej władzy po to, aby w razie jakiegoś niespodziewanego niezależnego orzeczenia wydanego przez sąd pierwszej instancji wszystko można było odkręcić w sądzie drugiej instancji.

Natomiast sędziowie, którzy dzisiaj prezentują przywiązanie do niezawisłości i którzy orzekają po prostu w zgodzie z prawem, materialem dowodowym i swoim własnym sumieniem, mają być wyeliminowani poprzez ich drastyczną degradację na sam dół struktury sądów i zachętę do samodzielnego odejścia w stan spoczynku.

*Chodzi o to, aby
przejąć całkowitą
kontrolę nad sądami
i wyeliminować
niezawisłe bezstronne
orzekanie*

Ale w uzasadnieniu projektu można przeczytać, że chodzi o dostosowanie sądownictwa „do potrzeb społecznych i gospodarczych”. Celem jest równomierne obciążenie sędziów pracą, likwidacja stanowisk funkcyjnych i dodatków. Idzie też o „wzmocnienia niezawisłości sędziowskiej przez eliminację instytucji »awansu« i wprowadzenia zasady, że powołanie do służby sędziowskiej w sądownictwie powszechnym następuje tylko raz”.

– Celem tej ogromnej regulacji jest przeprowadzenie rewolucji październikowej w sądownictwie. Chodzi o to, aby przejąć całkowitą kontrolę nad sądami i wyeliminować niezawisłe bezstronne orzekanie. A także tych, którzy mają w sobie tę odwagę, aby orzekać zgodnie z własnym sumieniem, nie pod dyktando. Niezawisłe sądy mają stać się po prostu urzędami z funkcjonariuszami.

Od 2017 r. minister sprawiedliwości próbuje wszelkimi możliwymi sposobami zdławić niezawisłość sędziowską. Czy to poprzez działania organizacyjne, czy poprzez powoływanie swoich przesów, czy przez działania represyjne wobec sędziów. Nie widzę w tych projek-

tach ustaw jakiegokolwiek elementu, który miałby służyć usprawnieniu funkcjonowania sądownictwa. To, że będzie mniej sędziów funkcyjnych, absolutnie niczego nie usprawni. Funkcyjni sędziowie będą nadal nominowanymi bezpośrednio czy pośrednio przez ministra sprawiedliwości. Czynniki polityczne będzie miał wpływ i kontrolę nad sądami. Będzie mógł w sposób dowolny przesuwac sędziów, wyznaczać im miejsca pracy, delegować.

Poza tym warto też pamiętać, że jeśli chce się wprowadzić rewolucję w sądownictwie, to powinno się ją poprzedzić niezliczoną liczbą konsultacji merytorycznych ze środowiskiem sędziowskim, adwokackim, prokuratorskim, z pracownikami sądów, organizacjami społecznymi. Nie może być to przygotowane na kolanie.

Jakie będą skutki wejścia tych przepisów w życie?

– Niewyobrażalny chaos. Tak jak wspominałem, setki tysięcy polskich spraw przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Do tego zaognienie do granic możliwości sporu z Unią Europejską. Bo przecież te przepisy nie tylko nie realizują wyroków europejskich trybunałów, ale zmierzają w przeciwnym kierunku, wprowadzając kolejne regulacje naruszające europejskie standardy skutecznej ochrony sądowej. Tak że to jest szatański pomysł.

Uporządkujmy: w jakich kwestiach projekt ministerstwa Zbigniewa Ziobry jest wprost niezgodny z orzeczeniami unijnego Trybunału i Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu?

– Poczynając od sprawy najważniejszej: projekt nie likwiduje problemu nowej Krajowej Rady Sądownictwa, która jest źródłem wszystkich problemów związanych z powołaniami i awansami sędziów. Projekt wręcz sankcjonuje dalsze funkcjonowanie tego organu politycznego. Mimo że, jak się teraz dowiadujemy z dziennikarskiego śledztwa, sposób działania rady urąga wszelkim cywilizowanym zasadom, a konkursom i awansom sędziowskim towarzyszą nepotyzm i anomalie nigdy wcześniej w historii tego organu niespotykane.

Izba Dyscyplinarna, która nie ma prawa działać po wyrokach TSUE

i Strasburga, dalej ma funkcjonować w systemie i zajmować się sprawami dyscyplinarnymi sędziów. Także ustawa kagańcowa, która zabrania sędziom kwestionowania statusu sędziów, czyli prawidłowości ich powołania bądź awansu w kontekście standardów niezawisłości, ma być utrzymana pomimo zabezpieczenia TSUE, które nakazywał jej likwidację.

Wyobraźmy sobie, że te przepisy wchodzi w życie. Co stałoby się z sędziami, którzy już teraz podpadli władzy, mają dyscyplinarki, sprawy karne albo są zawieszani za orzeczenia? Jaki los spotkałby sędziego Igora Tuleyę, Krystiana Markiewicza, prezesa Iustitii, czy sędzię Beatę Morawiec, prezes Themis?

– Zgodnie z przepisami wprowadzającymi ustawę minister sprawiedliwości otrzymałby uprawnienie do dowolnego ukształtowania ich pozycji w sądownictwie. Tak że wyobrażam sobie, że minister sprawiedliwości mógłby dowolnie zdegradować panią sędzię Beatę Morawiec czy pana sędziego Krystiana Markiewicza lub sędziego Igora Tuleyę. Mógłby sędziów, którzy mają ogromne doświadczenie i są w najlepszym wieku sędziowskim, wysłać do sądenia sprawy o kradzież roweru albo do najprostszycch spraw o stwierdzenie nabycia spadku. Wszystko po to, aby finalnym efektem była ich rezygnacja z wykonywania zawodu.

Jakie będą realne koszty tych zmian?

– Finansowe konsekwencje będą gigantyczne. Koszty przeprowadzenia rewolucji pójda w setki milionów złotych wyrzuconych na zmianę tabliczek, pieczętek i papierów. Ale trzeba do tego doliczyć także kary płacone do Komisji Europejskiej zasądzone przez Trybunał Sprawiedliwości. Do tego dalej Polska nie otrzyma środków z Funduszu Odbudowy.

Przypomnijmy, jakie wymagania postawiła Unia Europejska. Zatrzymanie Krajowego Planu Odbudowy może odbyć się pod trzema warunkami. Po pierwsze, likwidacja Izby Dyscyplinarnej, ale w takim realnym sensie, czyli nie likwidacja nazwy organu, ale odsunięcie ludzi, którzy tam orzekają. Po drugie, przywrócenie sądownictwu dyscyplinarnemu sędziów niezależnego charakteru. I po trzecie, przywrócenie do orzekania bezprawnie odsuniętych sędziów. Żaden z tych warunków nie jest oczywiście realizowany w projektach Ministerstwa Sprawiedliwości.

Projektowane przepisy generują szereg nowych naruszeń traktatów i Karty Praw Podstawowych. Tak więc wprowadzenie w życie tego projektu będzie generowało kolejne sprawy przed Trybunałem Sprawiedliwości, kolejne skargi składane przez Komisję i kolejne pytania prejudycjalne wnoszone przez polskich sędziów. Będą też zasądzone kolejne odszkodowania w Strasburgu. Ale minister sprawiedliwości nie będzie płacił za to z własnej kieszeni, dlatego jest mu to obojętne. ●

JUŻ **W** SPRZEDAŻY

wysokie obcasy
extra

TEMAT NUMERU Skąd brać nadzieję w trudnych czasach

MARTYNA WOJCIECHOWSKA Wierzę w kobiety

JOANNA CHMURA Dajmy sobie czas na żalobę i złość

PSYCHOLOGIA Strach spłyca myślenie

DLA KLIMATU Nasionka łąki kwietnej w prezencie



PREZENT
pomadka
pielęgnacyjna

POLANA
PIĘKNO, KTÓRE MASZ W NATURZE

Na rowerze

*Gdy inne miasta
często dzieliły tylko
chodniki
za pomocą farby,
my budowaliśmy
drogi rowerowe
z prawdziwego
zdarzenia. Chcemy
wyznaczać trendy*

CEZARY ŚPIEWAK-DOWBÓR

z KO o tym, że Gdańsk będzie się
ubiegał o organizację międzynarodowej
konferencji Velo City

Kielce. Dworzec złoży się jak domek z kart



FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Modernizacja kieleckiego dworca wchodzi w bardzo widowiskowy etap – wyburzenie głównego budynku, który dosłownie ma się „złożyć”. Potem będzie odbudowany w nowych technologiach. Po tym, jak uruchomiono dworzec tymczasowy. Prace rozbiórkowe powinny potrwać jeszcze trzy-cztery tygodnie. Potem zacznie się budowa nowego budynku, który ma spełniać wszystkie współczesne normy i mieć dodatkową powierzchnię biurową. Zgodnie z planem warta 44,2 mln zł inwestycja ma być gotowa w drugiej połowie przyszłego roku.

Marcin Sztandera

Łódź

Rekordowe otwarcie Orientarium

Zobaczmy tu najcięższego słonia indyjskiego, jaki jest w europejskich ogrodach zoologicznych. I najdłuższego krokodyla gawiałowego Europy. Łódzkie Orientarium przyciąga tłumy.

Małgorzata Szlachetka

Właśnie trwa weekend otwarcia Orientarium – nowej części zoo w Łodzi. To drugi obiekt tej skali w Polsce, po wrocławskim Afrykarium.

Majówkowa niedziela. Wewnątrz gmachu Orientarium w jednym momencie może być 2 tys. osób. W tym czasie, jak szacuje w czasie rozmowy Paulina Klimas-Stasiak, rzeczniczka łódzkiego ogrodu, na terenie całego zoo jest prawdopodobnie do 10 tys. osób.

„Kochani, jesteście niesamowici. Obecnie na wejście do Orientarium czeka się około 3 godzin. Pamiętajcie proszę o tym i jeśli wybieracie się do nas, to weźcie to pod uwagę” – to już niedzielny wpis z oficjalnego profilu zoo w Łodzi.

Dzień wcześniej tylko od godz. 9 do 14.30 do Orientarium weszło 10 tys. osób. Na podsumowanie frekwencji przyjdzie jeszcze czas, ale Łódź zakłada, że rocznie nową atrakcję będzie odwiedzać 1,5 mln gości.

Najdłuższy krokodyl

Zoo w Łodzi chwali się rekordami. W Orientarium zobaczymy najcięższego słonia indyjskiego, jaki jest w europejskich ogrodach zoologicznych – Aleksander waży sześć ton. W basenie z wodospadem pływa z kolei najdłuższy krokodyl gawiałowy Europy – Kraken ma 5,15 m. Jego partnerka o imieniu Penelopa dwa metry mniej.



• **Sześciotonowy Aleksander na wewnętrznym wybiegu**

FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Podwodny świat

26

METRÓW

• **tyłe długości ma tunel, z wnętrza którego można oglądać m.in. rekiny**

Jeśli chodzi o orangutany, w Polsce poza zoo w Łodzi można je jeszcze oglądać tylko w gdańskim ogrodzie.

W obiekcie zobaczymy też rekiny (jest ich ok. 20 sztuk, to młode osobniki, więc ciągle rosną) czy płaszczki. Można je podziwiać z perspektywy podwodnego tunelu, który ma 26 m długości. W części akwarystycznej wrażenie robi również największy zbiornik, w którym są 3 mln litrów wody.

W Orientarium prezentującym faunę i florę z Azji Południowo-Wschodniej mieszkają przedstawiciele ok. 215 gatunków, w tym – 180 gatunków ryb. Co w sumie daje ok. 1500 osobników. To przedstawiciele gatunków zagrożonych wyginięciem. A roślin w pawilonie jest ok. 15 tys. sztuk.

Słonie w kąpeli

Wewnętrzny wybieg słoni ma 2 tys. m kw. – To największa i najnowocześniejsza sloniarnia w Europie – zapewniała na łamach „Wyborczej” Paulina Klimas-Stasiak, rzeczniczka zoo w Łodzi.

O godz. 11 można obejrzeć kąpiel słoni w częściowo przeszklonym, wewnętrznym basenie. – Wrażenia są niesamowite. Widzieliśmy zdjęcia z kąpeli słoni, ale na żywo wygląda to dużo lepiej – mówiła Marta z Bolesławca, która na rękach trzyma trzyletniego Mateusza.

Zwierzęta można obserwować również z poziomu kładek umieszczonych na wysokości 5 m od ziemi.

Budowa kosztowała około 260 mln zł. Orientarium ma 7 ha powierzchni, w tym 2 ha pod dachem.

Bilety do Orientarium kosztują od 35 do 220 zł. ●

Konstancin-Jeziorna

Billboardy na cenzurowanym

10 zł dziennie za każdy metr kwadratowy nielegalnego billboardu czy innego nośnika reklamowego – takie kary obowiązują w podwarszawskiej gminie Konstancin-Jeziorna.

– Chcemy, żeby nasza gmina, gmina uzdrowskowa, była przykładem dla innych gmin. Pięć lat pracowaliśmy nad uchwałą krajobrazową, wojewoda jej nie uchylił, stanowi prawo miejscowe i zamierzamy je stosować – mówi „Wyborczej” Kazimierz Jańczuk, burmistrz Konstancina-Jeziorny.

Zakaz banerów reklamowych

Uchwałą krajobrazową lokalny samorząd uchwalił już w zeszłym roku. Zawierała jednak roczny okres przejściowy, który skończył się w czwartek, 28 kwietnia.

Przepisy dotyczące reklam w Konstancinie-Jeziornie są dość stanowcze. – Wprowadzamy całkowity zakaz banerów reklamowych, siatek, murali – tych reklamowych – pneumatycznych konstrukcji, reklam mobilnych oraz nośników emitujących zmienne światło – wyliczała na sesji rady gminy Ewa Klimkowska-Sul, kierownik wydziału planowania przestrzennego. Na terenie całej gminy zdelegalizowano też billboardy reklamowe. Wszystkie, niezależnie od rozmiarów.



FOT. ANDRZEJ PIETKA/URZĄD GMINY

Jedynie wyjątki w uchwale to publiczne tablice reklamowe ustawiane przez gminę, tablice reklamowe na rowerach Konstancińskiego Roweru Miejskiego oraz tabliczki reklamowe o rozmiarach do 0,06 m kw. umieszczone na obiektach małej architektury, np. ławkach, informujące o ich fundatorach.

Gmina dopuściła też szyldy, stawiając warunek, że wolno je umieszczać tylko na nieruchomościach, w których prowadzona jest reklamowana działalność.

Wysokie kary za nielegalne billboardy

– I co, billboardy już zniknęły? – pytam.

– Jeszcze nie – mówi burmistrz Jańczuk. Jego urzędnicy zaznaczają, że w ostatnich dniach zniknął np. duży szyld przy ul. Warszawskiej. – Koniec okresu przejściowego to tak naprawdę dopiero początek usuwania reklam. Teraz przystępujemy do pracy. Właścicieli nieruchomości, na których wiszą nośniki reklamowe niezgodne z uchwałą, będziemy zzywać do ich usunięcia. Prawdopodobnie damy im na to dwa tygodnie. Jeśli po tym czasie billboardy nie znikną, to wymierzę karę w formie administracyjnej – zapowiada burmistrz.

Konstancińska uchwała krajobrazowa ustala cennik kar: to część stała, wynosząca 112 zł dziennie, a do tego 10 zł za każdy 1 m kw. reklamy. Czyli za typowy billboard o powierzchni 18 m kw. naliczane będzie prawie 300 zł kary dziennie. ●

Michał Wojtczuk

*Chcemy, żeby nasza
gmina, gmina
uzdrowskowa,
była przykładem
dla innych*

KAZIMIERZ JAŃCZUK

burmistrz Konstancina-Jeziorny

Ideologiczna dywersja Kremla

Kłamstwa za ruble

Wojna w Ukrainie stwarza wyjątkową możliwość przeświecenia aktywności Rosjan w środowiskach rozsadzających od środka Unię Europejską czy NATO

Niemczyk

Ukraińskie służby specjalne zdobywają twarde dowody na to, jak Kreml kupuje sobie sojuszników. Dzięki temu europejskie media i politycy dostają nowe, mocne poszlaki.

Zachodni i europejscy dziennikarze śledczy dość regularnie informują, która grupa polityczna czy serwis informacyjny mogą być finansowane przez rosyjskie instytucje, służby specjalne lub oligarchów. Tropy prowadzą najczęściej do organizacji skrajnie prawicowych: Zjednoczenia Narodowego z Francji, Ligi we Francji, Wolnościowej Partii Austrii, Alternatywy dla Niemiec, wreszcie niezwykle wpływowego w kręgach polskiej prawicy Ordo Iuris.

W materiałach prasowych padają bardzo duże sumy. Od 11 mln euro pożyczonych przez rosyjskie banki partii Marine Le Pen w 2014 roku po 188 mln dolarów zebranych od rosyjskich sponsorów po 2014 roku przez organizacje związane z Ordo Iuris.

Najczęściej wymienianymi pośrednikami są oligarcha Konstantin Malofiejew czy powiązany z wywiadem cywilnym Rosyjski Instytut Studiów Strategicznych. Główny architekt inwazji Rosji na Ukrainę, obecny szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych FR, gen. Walerij Gierasimow opublikował w 2013 roku artykuł, którego treść stała się wykładnią tzw. doktryny Gierasimowa, w myśl której każdy konflikt militarny powinien być wspierany działaniami o charakterze innym niż wojskowy. Działania wojenne nie muszą być najważniejsze. Istotne cele można osiągnąć dzięki zakulisowemu wpływowi na społeczeństwo przeciwnika. Niewątpliwie jedną z metod jest uzależnianie lobbystów, „agentów wpływu” i tzw. pożytecznych idiotów od moskiewskich pieniędzy.

W tym kontekście warto się przyrzyć losom prorosyjskich polityków w Ukrainie, których wygodne życie postawiła na głowie rosyjska agresja. Najbardziej drastyczne przykłady ujawnia Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, regularnie aresztująca rosyjskich agentów. Co ciekawe, duża ich część, może nawet większość, wcale nie wykonuje zadań o charakterze wojskowym.

Według przecieków z rosyjskich służb prowadzona przez Kreml operacja destabilizacji Ukrainy miała kosztować nawet 5 mld dol. Suma wydaje się nieprawdopodobna, nie można wykluczyć, że doszło do nieporozumienia i chodzi o 5 mld rubli. Znaczna część środków została rozkradziona. Zarzuty stawiane są m.in. jednemu z dyrektorów FSB, szefowi tzw. piątej służby Siergiejowi Besedzie, który miał kierować ogromnym przedsięwzięciem rosyjskiej służby bezpieczeństwa, mającym na celu zdestabilizowanie ukraińskiej sceny politycznej i wprowadzenie chaosu w największych miastach. Jednak nawet jeżeli kremłowskie pieniądze zostały częściowo zdefraudowane, to i tak jakaś ich część posłużyła do budowania struktur wspierających politykę Rosji i rozsadzających Ukrainę od wewnątrz.

Organizacją, na której najczęściej opierają się rosyjscy agresorzy, jest druga co do wielkości partia w ukraińskim



• **Zatrzymany przez ukraińskie służby specjalne oligarcha Wiktor Medwedczuk**
FOT. TWITTER

parlamencie: Opozycyjna Platforma – Za Życie (OPZZ). Jej założycielami są m.in.: Jurij Bojko, Dmytro Firtasz, Wiktor Medwedczuk, Wadym Rabinowycz. Być może na podstawie jej wyników wyborczych szacowano, że poparcie dla prorosyjskich organizacji wynosić może ok. 20 proc., i stąd nadzieje Kremla, że jego wojska będą witane kwiatami. W wyborach 2019 i 2020 poparcie dla OPZZ wahało się pomiędzy 11 a 13 proc., ale trzeba pamiętać, że w Ukrainie działa jeszcze kilka wyraźnych prorosyjskich organizacji. Do 450-osobowej Rady Najwyższej Ukrainy Za Życie wprowadziło w 2019 r. 43 deputowanych. Dla porównania: rządząca, największa w parlamencie, popierająca Zelenskiego partia Sługa Ludu ma 254 mandaty.

Założenia programowe OPZZ to: ściślejsze powiązania z Rosją, antyeuropejskość, powstrzymanie dekomunizacji i derusyfikacji. Nigdy nie udało się wykazać, że ta partia jest finansowana z Rosji. Media jednak, badając pochodzenie środków wydawanych na działalność partyjną, ujawniły, że jej wydatki znacznie przekraczają oficjalnie zadeklarowane wpływy. Jej oficjalne finansowanie wynosiło w 2019 roku 116 mln hrywien (w zależności od kursu od 10 do 20 mln zł), z czego 76 mln ze składek członkowskich. Takie sumy nie wystarczyłyby na pokrycie wydatków. Według niezależnych szacunków na same tylko kampanie wyborcze – do parlamentu i prezydencką – partia wydała znacząco więcej.

Dziennikarze zwracali uwagę także na to, że wśród darczyńców partii jest więcej oligarchów niż w jakiegokolwiek innej formacji politycznej. Okazało się też, że członkowie władz partyjnych są wspólnikami spółek zarejestrowanych w rajach podatkowych.

To właśnie z OPZZ wywodzą się członkowie władz Donieckiej i Ługańskiej Republiki Ludowej, a także Konstanty Iwaszenko, najbardziej ostatnio skompromitowany „mer” Mariupola, powołany na tę funkcję przez dowódców rosyjskich kierujących zbrodniami wojennymi i równaniem z ziemią tego portowego miasta. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy deklaruje, że ma dowody zdrady popełnionej przez Iwaszenkę i innych aktywistów partyjnych, którzy przeszli na drugą stronę i grozi im za to nawet 15 lat więzienia.

Jedną z głośniejszych po 24 lutego prób ogłoszenia „republiki ludowej” SBU udaremniła w rejonie iwano-frankowskim i chmielnickim. Próba zorganizowania w zachodniej Ukrainie prorosyjskiej struktury miała angażować

około 500 osób. Organizatorzy trafili do aresztu. Im też grozi do 15 lat więzienia.

Najbardziej jednak typowa dla prorosyjskich aktywistów forma działania to propaganda w internecie. Ci gorzej zorganizowani po prostu głoszą na własnych i fałszywych kontaktach w mediach społecznościowych, że interwencja Rosji była konieczna ze względu na przejęcie władzy w Ukrainie przez faszystów. Twierdzą też, że nie ma dowodów na zbrodnie wojenne popełniane przez armię rosyjską na cywilach. Udokumentowane przypadki to ich zdaniem prowokacje, w których żołnierze ukraińscy lub częściej funkcjonariusze SBU, przebrani w rosyjskie mundury, zabijają przypadkowe osoby przed obiektami smartfonów.

Ci lepiej zorganizowani tworzą farmy botów i rozpowszechniają masowo fałszywe informacje, szkalujące legalne władze Ukrainy, jej armię i służby. W pierwszej połowie kwietnia służby ukraińskie zlikwidowały przynajmniej trzy takie wylegarnie trolli: w Zaporozżu, Kijowie i Żytomierzu. Najczęściej fałszywe konta zakładane są na Telegramie. Te „bardziej wartościowe” tworzy się w mediach popularnych na Zachodzie.

Jedną z metod Kremla jest uzależnianie lobbystów, „agentów wpływu” i tzw. pożytecznych idiotów od moskiewskich pieniędzy

Obok opowieści o „ustawkach” – czyli rzekomym inscenizowaniu ataków na cele cywilne i bezbronną ludność – popularne są także wątki dyskryminacji, rasizmu i ksenofobii, których ofiarą mają padać Rosjanie lub przedstawiciele mniejszości narodowych. Ma to potwierdzać tezę, że Ukraińcy stali się skrajnymi nacjonalistami. Na użytek zachodniej opinii publicznej – także homofobami.

Niektóre przypadki propagandy sięgają po nostalgię za ZSRR. Działający w Odessie Robotniczy Front Ukrainy rozpowszechnia ulotki i plakaty wzywające do reaktywacji Związku Radzieckiego. SBU udało się zatrzymać kilku działaczy Frontu i okazali się oni oczywiście rosyjskimi agentami.

SBU poinformowała też o aresztowaniu znanego w Kijowie eksperta od spraw bezpieczeństwa energetycznego

(nazwiska nie podano), który od dawna przekonywał do konieczności bliskiej współpracy z Rosją w sprawach dystrybucji i tranzytu węglowodorów. Po zajęciu przez Rosję Krymu próbował negocjować dostawy energii na półwyspie, zanim Rosja rozwiązała ten problem we własnym zakresie.

Rosyjska agresja okazała się dla prorosyjskich organizacji w Ukrainie chwilą prawdy. Prawie połowa deputowanych Opozycyjnej Platformy – Za Życie uciekła za granicę. Pozostałych 25 przekształciło się w blok Platforma dla Życia i Pokoju. Ta grupa, podobnie jak jeden z liderów partii Wadym Rabinowycz, potępiła agresję. Wygląda na to, że to jednak mniejsza część organizacji. Reszta szarpie się pomiędzy zdradą a ucieczką.

Charakterystyczny jest na tym tle los oligarchy Wiktora Medwedczuka. O jego zażyłości z Putinem świadczyć może chociażby to, że Władimir Władimirowicz jest ojcem chrzestnym jego córki Darii. Medwedczuk, który dorobił się między innymi na interesach z otoczeniem Aleksandra Łukaszenki, został w maju 2021 roku oskarżony o zdradę stanu z powodu wspierania administracji rosyjskiej w eksploatacji surowców naturalnych na Krymie. Trafił z tego powodu do aresztu domowego.

24 lutego, w dniu rosyjskiej napaści, uciekł z tego aresztu. Rosyjska FSB zorganizowała specjalną operację, której celem było wywiezienie Medwedczuka do Naddniestrza, a następnie do Moskwy. Akcja miała być majstersztykiem kompromituującym SBU. Rozpuszczono plotki wskazujące fałszywe trasy przerzutu. Znalaziono nawet dublerów, którzy mieli dać się złapać na różnych przejściach granicznych, aby odwrócić uwagę od prawdziwej trasy ucieczki. Stworzono fałszywy konwój wojskowy, w którym – pod ochroną zwerbowanych przez FSB oficerów policji i SBU – „ojciec chrzestny Putina” (jak go czasami nazywa się w Ukrainie) miał dojechać do granicy Naddniestrza.

FSB okazała się jednak skrajnie nieudolna i cała operacja od początku była pod kontrolą Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Medwedczuk i jego konwojenci zostali zatrzymani. Oligarsze – w przypadku udowodnienia zarzutów – grozi nawet dożywocie. A przy okazji – jego córka została wydalona ze Szwajcarii, gdzie studiowała na jednym z uniwersytetów w Genewie.

Obserwując los agentów Kremla, których dziś aresztują służby ukraińskie, można pokusić się o konkluzję: niewątpliwie przyjemnie jest przyjmować pieniądze za drobne przysługi, takie jak opublikowanie wielostronicowego wywiadu z ambasadorem Rosji, w którym może on bez reakcji przeprowadzającego rozmowę głosić najbardziej bezczelne tezy moskiewskiej propagandy. Fajnie jest zarabiać na lobbingu i reklamie spółek prowadzących interesy z rosyjskimi energetycznymi molochami. Pewnie jeszcze przyjemniej jest takie pieniądze wydawać. Ale należy pamiętać, że tego rodzaju dług trzeba będzie prędzej czy później spłacić. A to wcale przyjemne nie będzie. ●

Piotr Niemczyk

Piotr Niemczyk był w latach 90. dyrektorem Biura Analiz i Informacji Urzędu Ochrony Państwa, wiceszefem Zarządu Wywiadu UOP. Obecnie jest niezależnym ekspertem ds. bezpieczeństwa

„Dracula” Kilara i Pastora

BALETOWY HORROR

„Dracula” Krzysztofa Pastora to piękne, poetyckie widowisko nawiązujące do słynnej gotyckiej powieści Brama Stokera

• Kilian Smith
(Renfield)
i Carlos
Martín Pérez
(Dr Seward) FOT.
EWA KRASUCKA

Anna S. Dębowska

W tym roku mija 90. rocznica urodzin Wojciecha Kilara (1931-2013), jednego z najwybitniejszych polskich kompozytorów i geniusza w zakresie muzyki filmowej, za którą był wielokrotnie nagradzany. Jubileusz nie wyjaśnia jednak wszystkiego, jeśli chodzi o niezwykle wprost zainteresowanie jego muzyką wyrażane przez polskich choreografów.

W listopadzie ubiegłego roku Anna Hop przedstawiła na scenie Opery Narodowej swój autorski spektakl „Exodus” inspirowany muzyką Wojciecha Kilara („Exodus”, II Koncert fortepianowy, „Bogurodzica”). 28 kwietnia z kolei odbyła się polska premiera widowiska baletowego „Dracula” w choreografii Krzysztofa Pastora w całości opartego na wyborze utworów Kilara, zarówno z dziedziny tzw. muzyki poważnej, jak i dorobku filmowego.

Krzysztof Pastor mówi, że utwory Kilara „świetnie służą do tańca, do opowiadania”. Tym właśnie można wyjaśnić fenomen zainteresowania tą muzyką przez czołowych polskich twórców baletowych.

Anna Hop w swoim „Exodusie” z muzyki Kilara wysnuła syntezę ludzkiego losu, uniwersalną, ponadczasową opowieść o ludzkości i jej dążeniu do autodestrukcji. Jego przesłanie jest z gruntu pesymistyczne

– choreografka w końcowej scenie, w której dochodzi do kolejnego zbrojnego i krwawego konfliktu między skłóconymi grupami ludzi, antycypowała wybuch wojny rosyjsko-ukraińskiej.

„Dracula” Krzysztofa Pastora powstał w roku 2018. To piękne, poetyckie widowisko nawiązujące do słynnej gotyckiej powieści Brama Stokera. Doczekała się ona kilkudziesięciu ekranizacji, w tym w reżyserii Francisa Forda Coppoli (1992), do której muzykę skomponował Wojciech Kilar.

„Dracula” Pastora powstała z inicjatywy West Australian Ballet w Perth, a to, że przyjęła ostatecznie formę baletowego horroru z muzyką Wojciecha Kilara, wzięło się właśnie stąd, że polski choreograf obejrzał film Coppoli. Muzycznie chciał pozostać przy nutach skomponowanych przez Kilara, jednak wyjść poza partyturę do „Draculi” i sięgnąć z jednej strony po takie dzieła mistrza jak poemat symfoniczny „Kościelec 1909”, II Koncert fortepianowy, Symfonia „Adwentowa”, a z drugiej po jego muzykę kinową do takich filmów jak „Ziemia obiecana” i „Trędowata” (dwa czarowne walce), „Bilans kwartalny”, „Zazdrość i medycyna”, „Perła w koronie” i „Śmierć i dziewczyna”.

MUZYKA PRZENOSI NAS W WYMIAR NIESAMOWITOŚCI

Powstała z tego intrygująca muzycznie suita baletowa w aranżacji muzycznej Michaela Bretta, w której dwa typy i gatunki

muzyczne, wydawałoby się zupełnie do siebie nieprzystające, połączyły się w sensowną całość, motywowaną dramaturgicznie zdarzeniami fabularnymi (libretto napisał Paweł Chynowski).

Melodramatyczna czułościowość muzyki do „Ziemi obiecanej”, „Trędowatej” czy „Bilansu kwartalnego”, znajdują uzasadnienie w scenach balowych pokazujących zabawę w wiktoriańskim salonie. W nich właśnie prawnik Jonathan (Patryk Walczak) pojawia się z narzeczoną, piękną Miną (Yuka Ebihara). Nie wie, że Mina to reinkarnacja Elżbiety, zmarłej samobójczą śmiercią żony hrabiego Draculi, żyjącego w XV w. w Transylwanii. Gdy Jonathan przybywa do zamku hrabiego i odnajduje legowisko wampirów, a później bierze udział w unieszkodliwieniu Draculi, muzyka przybiera zupełnie inny kształt dźwiękowy i przenosi widzów w inny wymiar – niesamowitości. Zwłaszcza w scenie w legowisku wampirów.

Tu także pojawia się mistrzostwo scenografii (Phil R. Daniels, Charles Cusick Smith). Gotyckie okno, kamienne groby, kandelabry, tańczące potępieniczko wampi-

rzyce – atmosfera czarnej mszy lub orgii jak z filmu „Oczy szeroko zamknięte”.

Ostatnia scena, śmierci Draculi, działa na widza wprost hipnotycznie, niesiona na fali repetytywnej, trzymającej w napięciu muzyki z pierwszej części II Koncertu fortepianowego Kilara.

KRZYSZTOF PASTOR – RASOWY OPOWIADACZ

Rola Draculi jest podwójna – starego Draculę, w peruce kojarzącej się z włosami Geralta z „Wiedźmina”, kreuje znakomity Krzysztof Szabo. Młodego, odżywionego świeżo wyssaną krwią – Vladimir Yaroshenko.

Krzysztof Pastor niczym rasowy opowiadacz historii nie zapomniał o elemencie humorystycznym. Stanowi go grupka pogromców wampirów, trzech panów w wiktoriańskich cylindrach i surdutach z całym swoim rynsztunkiem – z krzyżem, młotkiem do wbijania osikowego kolka i mieczem do ścinania wampirzej głowy – interweniująca tam, gdzie pojawia się Dracula. Czasem poruszają się w filmowym slow motion, co robi podwójnie humorystyczne wrażenie.

„Dracula” w choreografii Krzysztofa Pastora pokazywany był już w West Australian Ballet w Perth, w Queensland Ballet w Brisbane i w Rydze w wykonaniu Łotewskiego Baletu Narodowego. Zdecydowanie warto wybrać się na jego warszawską odsłonę. Kolejne spektakle 29 i 30 kwietnia oraz od 19 do 22 maja 2022. ●

Krzysztof Pastor mówi, że
utwory Wojciecha Kilara
„świetnie służą do tańca,
do opowiadania”

Nowa płyta Rammstein

Wagnerowski patos i ciężar gitar

„Zeit” to album, który fani otrzymali w ramach rekompensaty za przekładane przez pandemię koncerty. Materiał może nie ponadczasowy, ale wystarczająco dobry, by kupić zespołowi czas.

Jarek Szubrycht

Utwór tytułowy z nowej płyty to oda do przemijania. Jesteśmy, za chwilę nas nie będzie, ale będą inni i wszystko zacznie się od nowa. Rammstein mówią, jak jest: tempus fugit i warto się z tym pogodzić, a wtedy można się nawet zachwycić.

Trudniej zachwycić się ósmym albumem studyjnym zespołu. Choć i zganić niełatwo.

Tej płyty miało nie być. W 2019 roku Rammstein wydał album z zapalką na okładce, pierwszy studyjny materiał od dekady. Recenzje były przychylne, fani oszaleli ze szczęścia, zaplanowano wielkie tournée, podczas którego od hałasu i ognia miał uciepnieć niejeden stadion.

Ale przyszła zaraza i triumfalny pochód Rammstein przez świat wstrzymano.

Niemieccy muzycy, zamiast zabarykadować się w swoich wилłach i przejadać oszczędności, spotkali się w studiu.

Efekt? Muzycznie bez niespodzianek: kwadratowa, diablo potężna sekcja rytmiczna wiezie ciężkie i głośnie gitary. Niby mocna rzecz, ale proszę się nie lękać. Ładnie to brzmi i tak jest wyszlifowane, żeby się przypadkiem masowy odbiorca nie pokaleczył o nierówności.

Klawisze czasem pompują wagneriański patos (wtedy ziewam), czasem ciągną zespół w stronę electro, a nawet popu (to lubię), jak w refrenie „Zick Zack”, wyszydzającego uciekających przed starością klientów chirurgów plastycznych.

W tekstach trochę świntuszenia, szczypta filozofii, niema-

ło ironii. Jak zwykle: liczne tropy literackie i popkulturowe, które fani z zapamiętaniem i pewnie niemalą przyjemnością rozszyfrowują.

Zespół ma w dorobku lepsze płyty, ta jest tylko dobra.

Po poprzednim albumie plotkowano, że to już ostatni materiał studyjny Rammstein, ale jak wiadać, pogłoski o ich śmierci okazały się przesadzone. „Zeit” też pewnie nie jest pożegnaniem (choć ta okładka, przedstawiająca muzyków opuszczających posterunek, jest absolutnie wspaniała!), ale przecież może nim być. Wszystko kiedyś się kończy, każda kariera, każdy talent. „Nawet słońce się

wypali” – zauważyła Till w finałowym „Adieu”.

Warto więc się cieszyć tym, co jest – to lekcja, którą Rammstein wyciągnęli z pandemii. Skoro tak, nie wypada narzekać, więc dodam tylko, że na koncercie na pewno będzie lepiej. Bo Rammstein to przecież cały audiowizualny pakiet, piosenki nie są najważniejsze. Nie te czasy. ●

Rammstein



Zeit

Universal Music

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci naszego Kolegi



Marka Wawrzyniaka

wieloletniego pracownika Spółki BBF w Poznaniu

Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
składa

*Zarząd i Pracownicy
Spółki BBF Sp.z o.o. w Poznaniu*

www.nekrologi.wyborcza.pl/34175689

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość,
że w dniu 27 kwietnia 2022 r. zmarł



prof. dr hab. inż.

Stefan Jan Kowalski

emerytowany pracownik naukowo-dydaktyczny Wydziału Technologii Chemicznej,
wybitny specjalista w zakresie inżynierii chemicznej oraz mechaniki stosowanej,
członek Korespondent Polskiej Akademii Nauk,
członek i założyciel Polskiego Towarzystwa Suszarnictwa.
Odnaczony Medalem Komisji Edukacji Narodowej,
Medalem „Societas Humboldtiana Polonorum”,
odznaką honorową „Za Zasługi w Rozwoju Województwa Poznańskiego”,
Srebrnym oraz Złotym Krzyżem Zasługi.

Żegnamy wspaniałego nauczyciela,
oddanego kolegę oraz przyjaciela naszej Uczelni.

Rodzinie Zmarłego

składamy wyrazy szczerego współczucia.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się
2 maja 2022 r. o godzinie 12.00
na cmentarzu parafialnym w Splawiu.

*Rektor, Senat
i Społeczność Akademicka
Politechniki Poznańskiej*

www.nekrologi.wyborcza.pl/34175823



ODESZLI.PL

Umieść wspomnienia o Twoim bliskim,
dodaj zdjęcie – niech pamięć trwa

Przed Sądem Rejonowym w Suwałkach I Wydziałem
Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie
o sygn. akt I Ns 176/22 z wniosku Wandy Syberskiej

O STWIERDZENIE NABYCIA SPADKU

**po Alicji Wołyniec i Jarosławie
Wołyniec oraz o otwarcie
i ogłoszenie testamentu Alicji
Wołyniec i Jarosława Wołyniec.**

Wzywa się wszystkich spadkobierców Jarosława
Wołyniec (s. Józefa i Heleny), urodzonego dnia 10 lutego
1939 roku w Suwałkach, ostatnio stale zamieszkałego
w Suwałkach, zmarłego w dniu 31 stycznia 2022 roku
w Suwałkach, aby w terminie 3 miesięcy od dnia
ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego
w Suwałkach i udowodnili nabycie spadku, gdyż
w przeciwnym razie mogą być pominieci
w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

34175625

Przed Sądem Rejonowym we Włocławku pod sygnaturą
I Ns 981/21 toczy się postępowanie z wniosku Zenona
Jędrzejewskiego z udziałem Jarosława Nowaka,
Anny Kozłńskiej, Krzysztofa Sobocińskiego, Emilii
Mikołajczak, Janusza Jędrzejewskiego, Jarosława
Sobocińskiego, Mariusza Nowaka, Małgorzaty Pietrzak,
Romana Sobocińskiego, Sylwestra Jędrzejewskiego,
Barbary Skórzyńskiej, Roberta Jędrzejewskiego
o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie nieruchomości
rolnej stanowiącej gospodarstwo rolne położonej
w miejscowości Osiecz Mały, gmina Boniewo, powiat
włocławski, województwo kujawsko-pomorskie,
oznaczonej geodezyjnie jako działka o numerach: 5,
14, 33, 37, 58, 60 o łącznej powierzchni 8,24 ha oraz
położonej w miejscowości Bierzyn, gmina Boniewo,
powiat włocławski, województwo kujawsko-pomorskie,
oznaczonej geodezyjnie jako działka o numerach: 140
o powierzchni 1,06 ha, dla których to nieruchomości Sąd
Rejonowy we Włocławku nie może stwierdzić, czy jest
prowadzona księga wieczysta lub zbiór dokumentów. Sąd
wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności
następców prawnych Nikodema Jędrzejewskiego
syna Jana, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się
ogłoszenia zgłosili w sądzie i udowodnili swoje prawa
własności do nieruchomości, w przeciwnym razie Sąd
stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione.

34175692

W Sądzie Rejonowym w Ciechanowie w I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 456/21
toczy się postępowanie z wniosku Urszuli Łuczakowskiej i Hanny Bogusławy Kuczyńskiej
**o stwierdzenie nabycia spadku po Mieczysławie Zakrzewskim s. Franciszka i Zofii,
zmarłym dnia 28 września 2021 r. w Leśniewie Dolnym, ostatnio stale zamieszkałym
w Leśniewie Dolnym gmina Grudusk.** W skład spadku wchodzi udział w wysokości
1/2 części we współwłasności nieruchomości, dla której Sąd Rejonowy w Ciechanowie
prowadzi księgę wieczystą KW PL1C/00002556/8.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności wnuka spadkodawcy
Daniela Waldemara Zakrzewskiego, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się
niniejszego ogłoszenia stawili się do tut. Sądu i wykazali swe prawa do spadku, gdyż
w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie spadku przez spadkobierców, których
prawa zostały wykazane.

34175663

Sygn. akt I Ns 201/21

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Golubiu-Dobrzyniu
zostało wszczęte postępowanie w sprawie I Ns
201/21 z wniosku Henryki Zygmunt z udziałem
Marii Rybickiej, Henryka Feliksa Rybickiego, Heleny
Iwan o stwierdzenie zasiedzenia przez Henrykę
Zygmunt z domu Grzeszkiewicz c. Antoniego i Bro-
nislawy, zabudowanej nieruchomości stanowiącej
działkę o numerze 242, o pow.0,0459 ha, dla której
nie ma urzędzonej księgi wieczystej, ani zbioru
dokumentów.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, aby w terminie
trzech miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia
zgłosiły swoje prawa do w/w nieruchomości w Są-
dzie Rejonowym w Golubiu-Dobrzyniu w Wydziale
I Cywilnym, w którym toczy się postępowanie.
Ponadto sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą
udzielić wiadomości w sprawie, aby w ciągu trzech
miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia przeka-
zały je sądowi.

34175662

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Zabrzu
pod sygn. akt I Ns 45/22 toczy się sprawa
z wniosku Górnicej Spółdzielni
Mieszkaniowej „Luiza” w Zabrzu

O STWIERDZENIE NABYCIA SPADKU

**po Marii Magdalenie Wandzik,
córcie Jana i Małgorzaty,
zmarłej 27 kwietnia 2019 roku
w Zabrzu, ostatnio stale
zamieszkałej w Zabrzu.**

Wzywa się, aby spadkobiercy w ciągu trzech
miesięcy od dnia ukazania się niniejszego
ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie
spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą
być pominieci w postanowieniu
o stwierdzeniu nabycia spadku

34175816

Syndyk masy upadłości sprzedaje pakiet 50
(pięćdziesięciu) udziałów, wchodzących w skład masy
upadłości Aleksandry Gierczak – osoby fizycznej
nieprowadzącej działalności gospodarczej, stanowiących
100% kapitału zakładowego spółki GOOD FOOD
sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni, za cenę 3.610,00 zł
(słownie: trzy tysiące sześćset dziesięć złotych 00/100).

Oferty na zakup należy przysłać drogą korespon-
dencyjną (przesyła rejestrowaną) w terminie do
dnia 20.05.2022 r. do g. 15:00. Oferty w zamkniętych
kopertach z czytelnym dopiskiem „oferta zakupu
udziałów GOOD FOOD” należy przesać drogą
pocztową na adres: ul. Rewolucji 1905 r. 82 lok. A21,
90-223 Łódź. Decyduje data doręczenia
oferty na podany adres.

Cena nabycia nie może być niższa niż cena
oszacowania. Warunkiem uczestniczenia
w przetargu jest wpłacenie wadium w wysokości
10% ceny oszacowania na konto masy
nr 07 1140 2004 0000 3102 8025 9087.

Dodatkowe informacje, wycena udziałów
oraz regulamin konkursu ofert dostępne
mailowo konkursofertsyndyk@gmail.com

34175821

W Sądzie Rejonowym w Olsztynie I Wydziale
Cywilnym za sygnaturą akt I Ns 149/20

toczy się postępowanie o

stwierdzenie nabycia spadku

**po Otylii Baczewskiej, córce Michała
i Elżbiety, zmarłej 15 listopada 1975 roku
w Nowej Wsi gmina Purda, mającej
ostatnie miejsce zwykłego pobytu
w Nowej Wsi gmina Purda.**

Wzywa się wszystkich spadkobierców,
aby w ciągu trzech miesięcy od dnia
ukazania się ogłoszenia zgłosili się
w tutejszym sądzie i udowodnili nabycie
spadku, gdyż w przeciwnym razie
mogą być pominieci w postanowieniu
o stwierdzeniu nabycia spadku.

34175812

OGŁOSZENIE

§

34175187

Przed Sądem Rejonowym w Puławach toczy
się sprawa I Ns 652/17 z wniosku Ryszarda
Wrutniaka z udziałem Grażyny Wrutniak, Ma-
rianą Sulim, Jadwigi Sulimy, Andrzeja Sulimy,
Teresy Sulimy, Gminy Janowiec, Skarbu Pań-
stwa – Nadleśnictwa Puławy, Heleny Mazur,
Henryka Górskiego, Alicja Górskiej, Skarbu
Państwa – Starosty Puławskiego o stwier-
dzenie, że małżonkowie Ryszard Wrutniak
i Grażyna Wrutniak nabyli przez zasiedzenie
prawo własności nieruchomości położonej
w Janowicach, gmina Janowiec, składającej
się z części działek o numerach 346 i 347 po-
przednio oznaczonych numerami 48/1 i 48/2.
Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych
wynikiem postępowania do udziału w sprawie
w ten sposób, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili
się do Sądu Rejonowego w Puławach i ujawnili
prawo do nieruchomości, gdyż postępowanie
odbędzie się bez ich udziału i Sąd stwierdzi
zasiedzenie, jeśli zostanie ono udowodnione.

Komunikaty.pl

**Przetargi,
licytacje,
zamówienia
publiczne.**

Bądź na bieżąco

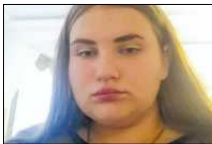
34176039

Może wiesz coś o ich losie

SZUKAMY ZAGINIONYCH



ITAKA – Centrum Poszukiwań Ludzi Zaginionych wraz z „**Gazetą Wyborczą**” poszukują osób,
których zdjęcia dziś publikujemy. Jeśli wiesz coś o ich losie, skontaktuj się z ITAKĄ.
Zadzwoń 24 godz. na dobę: w sprawie zaginionego dziecka: 116 000, **linia wsparcia:** 801 247 070
lub 22 654 70 70. **E-mail:** biuro@zaginieni.pl. Pomóż zaginionym wrócić do domu: www.zaginieni.pl



**WIKTORIA ANNA
GDANIEC**

Borkowo (woj. pomorskie)
Zaginęła: 2.10.2021 r.
Wiek: 17 lat



**PIOTR
PIETRZAK**

Sochaczew
(woj. mazowieckie)
Zaginął: 23.01.2020 r.
Wiek: 33 lata



**TOMASZ PIOTR
ZGODA**

Poznań (woj. wielkopolskie)
Zaginął: 21.03.2022 r.
Wiek: 34 lata



**NATALIA
KOWALSKA**

Moriki (woj. podlaskie)
Zaginęła: 13.10.2021 r.
Wiek: 17 lat



**SEBASTIAN
SIERPIŃSKI**

Wirówek (woj. zachodnio
pomorskie)
Zaginął: 14.08.2021 r.
Wiek: 27 lat



**RYSZARD
CIOSTEK**

Warszawa
(woj. mazowieckie)
Zaginął: 14.06.2021 r.
Wiek: 63 lata

34153896

Sygn. akt I Ns 178/22

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Płocku toczy się postępowanie z wniosku Piotra Ciećwierza

**o stwierdzenie nabycia spadku po Edwardzie Strożek pesel
40071506058, zmarłym 8 lutego 2022 roku w Płocku,
na stałe przed śmiercią zamieszkałym w Płocku,
przy ul. Hermana 1 m. 83 (sygn. akt I Ns 178/22).**

Wnioskodawca powołuje się na testament własnoręczny Edwarda Strożka sporządzony 1.07.2018 roku.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności spadkobierców ustawowych aby **w terminie
3 (trzech) miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia** zgłosili się do Sądu Rejonowego w Płocku – I Wydział Cywilny
i wykazali swoje prawo do dziedziczenia w przeciwnym razie zostaną pominieci w postanowieniu o stwierdzenie
nabycia spadku.

34175665

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Centrum I”
ul. Świętokrzyska 31/33A, 00-049 Warszawa, tel. 22 827-83-14
ogłasza przetarg nieograniczony z negocjacją ceny na następujące roboty:
• **Remont balkonów od strony północnej wraz z przedłużeniem zadaszenia nad tarasem
w budynku położonym przy ul. Tamka 40 w Warszawie**

Zakres prac obejmuje wzmocnienie płyt balkonowych, montaż nowych barier, izolację płyt balkonowych,
naprawy i malowanie elewacji w obrębie balkonów od strony północnej budynku, wymianę pokrycia zadaszenia
tarasu wraz z przedłużeniem daszka w budynku mieszkalnym położonym przy ul. Tamka 40 w Warszawie,
zgodnie z projektami budowlano-wykonawczymi.

Oczekiwany termin wykonania całości zamówienia nie dłuższy niż 15 grudnia 2022 r.

Wadium wynosi **10 000,00 zł (słownie: dziesięć tysięcy złotych)**.

Dodatkowe informacje dotyczące przetargu:

- Termin składania ofert do dnia **17.05.2022 r. do godz. 11.00** w sekretariacie Spółdzielni Mieszkaniowej „CENTRUM I”.
- Szczegółowe warunki zamówienia oraz udziału w postępowaniu zawarte są w **SIWZ**, który można otrzymać w siedzibie SM „CENTRUM I” w **godz. 9.00–14.00**.
- Wadium należy wpłacać na konto Spółdzielni Mieszkaniowej „Centrum I” nr 71 1020 1156 0000 7802 0007 3718.
- Termin związania ofertą wynosi 60 dni od dnia upływu terminu składania ofert.
- Kryteria oceny ofert: cena 70%, okres gwarancji 10%, referencje i doświadczenie 10%, termin wykonania 10%.
- Zamawiający zastrzega sobie prawo do unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

Dodatkowe informacje można uzyskać pod numerem tel. 22 827-83-14 w. 16.

34175770

Burmistrz Miasta Rypin ogłasza

**nieograniczony publiczny przetarg ustny na sprzedaż
niezabudowanej nieruchomości stanowiącej własność Gminy Miasta
Rypin, położonej w Rypinie przy ul. Koszarowej.**

Przedmiotem przetargu jest niezabudowana nieruchomość ozn. nr geod. 2224/11
o powierzchni 0,9300 ha, zapisana w KW Nr WL1Y/00016178/9 położona w Rypinie przy
ul. Koszarowej.

Kształt działki – regularny, powierzchnia płaska.

Z sieci infrastruktury technicznej przy nieruchomości przebiega sieć energetyczna,
wodociągowa, kanalizacyjna, ciepłownicza.

Najbliższe sąsiedztwo nieruchomości stanowi zabudowa usługowa oraz mieszkaniowa:
jedno i wielorodzinna.

W miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego nieruchomość położona jest
na terenie oznaczonym symbolem 1 MW – tereny zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej.
Nieruchomość obciążona jest na czas nieokreślony służebnością przesyłu na rzecz
Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Rypinie – jako właściciela
kolektora ciepłego, w celu umożliwienia funkcjonowania, konserwacji oraz dokonywania
napraw tego urządzenia.

Określenie użytków: Ł IV – 0,0506 ha, RiVa – 0,0364 ha, RiVb – 0,8228 ha, R V – 0,0202 ha.
**Cena wywoławcza nieruchomości: 1.500.000,-zł netto (słownie: jeden milion pięćset
tysięcy złotych).**

Do wylicytowanej ceny sprzedaży nieruchomości zostanie doliczony podatek VAT (23%).

Przetarg odbędzie się w dniu **6 lipca 2022 roku o godz. 10.00** w sali posiedzeń (pok. 104)
Urzędu Miasta Rypin ul. Warszawska 40.

Warunkiem uczestnictwa w przetargu jest wpłacenie najpóźniej do dnia **22 czerwca 2022 r.**
na konto Urzędu w BGŻ BNP Paribas O/Rypin Nr 84 2030 0045 1110 0000 0245 8610
wadium w gotówce (pieniądu) w wysokości **200.000,-zł (słownie: dwieście tysięcy
złotych)**.

Pełna treść ogłoszenia o przetargu została wywieszona na tablicy ogłoszeń Urzędu
Miasta Rypin ul. Warszawska 40 oraz na stronie internetowej Urzędu www.rypin.eu oraz
w Biuletynie Informacji Publicznej www.bip.rypin.eu.

Bliższych informacji w sprawie przetargu udziela Wydział Nieruchomości i Środowiska
Urzędu Miasta Rypin, ul. Warszawska 40, pok. 108, telefon: 54 280 96 27.

Burmistrz Miasta Rypin

Paweł Grzybowski

34175584

A jednak się kręci

Urok dziadersa z ludzką twarzą

Stec



Nigdy nie chorował na kompleks boga, za to zawsze przyznawał się – głośno, z rozkoszą obnażającego się eks-hibicjonisty – do błędów.

Ustalmy od razu: w sobotę w Madrycie wydarzył się skandal. Carlo Ancelotti, który jako pierwszy w historii trener skompletował ligowe tytuły mistrzowskie w pięciu najbardziej rozwiniętych futbolowo krajach – Hiszpanię dorzucił do podbitych wcześniej Włoch, Anglii, Francji i Niemiec – kompletnie się do swojej roboty nie nadaje.

Atrybuty niezbędne każdemu, kto chce zgrywać monumentalnego piłkarskiego bossa, doskonale znamy. Powinien być niestrudzonym innowatorem oraz myślicielem (kultowa „filozofia trenerska”), który każdego dnia budzi się z odkrywczym taktycznym wynalazkiem albo wręcz wymyśla całą grę na nowo. Powinien oddychać sprawami boiska 25 godzin na dobę przez osiem dni w tygodniu, oddychać oczywiście obsesyjnie – przecież każdy z nas podejrzewa, że Pep Guardiola nawet przy rozkładaniu na stole sztuczków dba o odpowiednie odległości między formacjami. Powinien też szkoleniowiec godny wielkich drużyn przemawiać do piłkarzy jak Churchill czy William Wallace, z charyzmą lidera pchającego do walki na śmierć i życie – nie zaszkodzi mu też poprzec podniosłych słów szaleństwami przy linii bocznej, konwulsjami generała zaangażowanego w mecz całym ciałem, gotowego dołączyć.

Powinien wreszcie posiadać trener ego ogromniejsze niż stadion, po-



• **Triumfujący Carlo Ancelotti**
FOT. BERNAT ARMANGUE / AP

trzebę wznoszenia swego autorskiego świata wszędzie, gdzie się zjawi. Ewentualnie – umiejętność elokwentnego manipulowania opinią publiczną czy siania zamętu w szatni przeciwnika, czyli popisów na konferencjach prasowych znanych niegdyś, dzięki Alexowi Fergusonowi, jako „mind games”. Spójrzcie na guru Guardiolo, na heavymetalowca Jürgena Kloppa, bulteriera Diego Simeone’a czy wielkogębego Joségo Mourinho – nawet jeśli nie spełniają wszystkich warunków, to spełniają przynajmniej niektóre.

Ancelotti gwizdże sobie na wszystkie. Nie wnosi twórczego fermentu, nie ma w sobie pasji badacza poszukującego granic piłki nożnej, zadowala się drobnymi korektami o doniosłych skutkach, jak przesunięcie bliżej środka pola Andrei Pirlo (Milan) czy Angéla Di Marii (Real). W przeciwieństwie do trenerów, którzy z wywalonym językiem zabierają się za oznaczanie swojego terytorium (re-kordzista Rafa Benitez potrafi pousuwać z klubowych budynków wszystkie bibeloty związane z poprzednikiem), często stara się – cytuję – utrzymać zwyczaję panujące przed jego przyściem. Nie zamierza upierać się przy wyznaczaniu treningów na godz. 10, jeśli piłkarze wolą ćwiczyć od 10.30. I generalnie nie sądzi, by futbol był ponad wszystko.

Przeciwnie, to król życia, smakosz małych przyjemności, w kółko powta-

rzający, że najbardziej lubi jeść, że pochłania zastraszające ilości i czuje się wtedy najszcześliwszym człowiekiem na świecie. W klubowej telewizji podaje przepis na rewolucyjne penne alla carbonara, w gazetach tłumaczy, że Boże Narodzenie bez tortellini w bułonie nie ma sensu, w restauracjach pakuje się na zaplecze na pogawędkę z kucharzami, autobiografię otwiera od wyznania, że na Jurija Żyrkowa, zawodnika Chelsea, patrzył swego czasu jak na soczysty stek. Wspomnieniom nadal zresztą znamienny tytuł – „Preferisco la Coppa” przetłumaczmy jako „Wolę puchar”, ale to drugie słowo oznacza również produkowaną w jego rodzinnych stronach karkówkę krojoną na cieniutkie plastry.

Podczas lektury jego książki trzeba uważać, żeby nie pęknąć – ze śmiechu. Co rymuje się z opowieściami piłkarzy o Włochu jako szefie obdarzonym wyjątkowym poczuciem humoru, wiecznie wyluzowanym i dowcipującym nawet przed finałami, nieznoszącym podnosić głosu, zresztą wszyscy wołają na niego zdrobniale „Carletto”. Wszyscy zagadnięci chętniej niż o Ancelottim trenerze mówią o Ancelottim człowieku, o jego zdolności odróżniania rzeczy błahych od ważnych, naturalnym tworzeniu przyjaznego miejsca pracy. W ich świadectwach z przedstawicie-la rocznika 1959, czyli generacji spychanej na margines jako parada dzia-

dersów, wylania się przywódca ultranowoczesny – polegający na tzw. kompetencjach miękkich, orędownik soft power rozkochujący w sobie młodzież. Wielbiciel wieprzowiny, któremu Sylwia Spurek jadłaby z ręki.

Wygrał dużo i zarazem mało. W każdej z najbogatszych lig – z Milanem, gdzie spędził bite osiem lat, Chelsea, PSG, Bayernem oraz Realem – zdobywał po tylko jednym mistrzostwie kraju, w Monachium zarzucano mu wręcz przywiązanie do archaicznych metod i aplikowanie treningów o niskiej intensywności. Wszędzie żegnano jednak go ciepło, dzięki koncyliacyjnemu usposobieniu koegzystował pokojowo z ingerującymi w kwestie sportowe przełożonymi (Berlusconi! Pérez! Abramowicz!).

I do Madrytu wrócił po sześciu latach, gdy zdawało się, że faktycznie schodzi na pozycję nienadążającego dziadersa, poprzednio pracował w przeciętnym Evertonie. Choć od 25 lat zapraszają go najambitniejsi prezesi najsłynniejszych klubów, a niedawno pomógł dojrzeć podobnemu w trenerskim stylu Zinédine’owi Zidane’owi, to nadal nie lubi działać na własną rękę, nie lubi wydawać poleceń, nie uczy, jak żyć, po przegranych El Clasico wypalił samokrytycznie, że spartaczył, chybił z pomysłem ustawienia Luki Modricia w roli fałszywego środkowego napastnika.

Ancelotti spuszcza trochę powietrza z wielkiej piłki w trzeciej dekadzie XXI wieku – nadętej, zestresowanej, każdą porażkę przyjmującej z histerią, przestrzelony rzut karny traktującej jak apokalipsę. Paolo Maldini, który zna go od dekad, twierdzi, że Carletto jest łagodny jak baranek, nie potrafi zachować się podle. Sprzeciwu nie znosi tylko przy stole, tylko tam wydał mu – kapitanowi drużyny wzbraniającemu się przed zjedzeniem jakiegoś ciężkocholesterolowego rarytasu – zdecydowany rozkaz: „A ja jestem twoim trenerem i mówię ci, że masz tego spróbować”. ●

Rafał Stec

Bez przypadku w finale Pucharu Polski

Finał piłkarskiego Pucharu Polski będzie starciem nie tylko najlepszych w tym sezonie drużyn, ale też najlepszych piłkarzy.

Ivi López strzelił w tych rozgrywkach 19 goli dla Rakowa Częstochowa, Mikael Ishak – 16 i João Amaral – 15 dla Lecha. To piłkarze, dla których warto chodzić na stadiony: grają nieszablonowo, umiejętnościami wyrastają ponad poziom ekstraklasy. – Świetnie się z Mikaelem uzupełniamy. On się cofa, ja idę do przodu, a za chwilę zamieniamy się rolami. Na boisku chcę pomóc Ishakowi w zdobyciu jak największej liczby bramek w tym sezonie. Obecny Lech to najlepsza drużyna, w jakiej kiedykolwiek grałem – komentuje João Amaral.

– Amaral jest bardzo sprytnym i inteligentnym piłkarzem. O je-

go sile świadczy to, jak porusza się po boisku, jak potrafi uzupełniać wolne przestrzenie w ofensywie, jak podaje czy strzela z obu nóg. Nie jestem w stanie wymienić jednej cechy, która go wyróżnia, bo on ma je wszystkie po trochu – odwzajemnia komplementy Mikael Ishak.

Obaj piłkarze Lecha doceniają Raków oraz największą gwiazdę drużyny Iviego Lópezę. – Widać, jak reszta zespołu polega na nim w czasie spotkań. Dla mnie jako napastnika wyzwaniem jest również Tomáš Petrášek. On jest naprawdę duży. Pamiętam, jak pierwszy raz spojrzałem na jego buty, to nie mogłem uwierzyć. Jakimi one mają rozmiar? 50? Zarówno on, Ivi, jak i cały zespół to naprawdę trudni przeciwnicy – opowiada Ishak.

W dyskusji o wyborze najlepszych piłkarza sezonu najczęściej po-

jawiają się nazwiska Lópezę oraz João Amaralę. – Ivi López jest niesamowity i w tym momencie nie ma wyboru między mną a nim, bo to Ivi jest najlepszym zawodnikiem w lidze. Niech on wygra nagrodę dla najlepszego zawodnika sezonu, a my wygramy mistrzostwo oraz puchar. Dla mnie to żaden problem – śmieje się Amaral.

Portugalczyk pierwszy profesjonalny kontrakt podpisał dopiero w wieku 25 lat, a teraz ma szansę w jednym sezonie wygrać dwa trofea. I jak sam mówi, to nie zaspokoi jego piłkarskiego głodu. – Moja droga do miejsca, w którym jestem, nie była łatwa. Dużo się nauczyłem w tym czasie. Robię wszystko, żeby moja córka miała łatwiej w życiu niż ja. Właśnie dlatego podpisałem z Lechem nowy kontrakt i teraz chcę wygrać z nim trofea – tłumaczy portugalski pomocnik.

Poniedziałkowy finał Pucharu Polski (godz. 16 na Stadionie Narodowym, transmisja w Polsacie) jest przygrywką do końcówki sezonu w ekstraklasie. Raków i Lech mają po 65 pkt, klub z Częstochowy prowadzi, bo ma lepszy stosunek bezpośrednich meczów z ze-

społem z Poznania. Do końca sezonu zostały trzy kolejki.

– Może ten finał wpłynie na rywalizację w lidze? Niby te trzy mecze to niewiele, ale wszystko jeszcze może się wydarzyć – podsumowuje João Amaral. ●

Mateusz Jarmusz

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Ślasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: pomoc@wyborcza.pl 22 555 54 55, 519 255 455
Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości kupienia dodatków: (12) 629 53 11, kolportaz@wyborcza.pl

Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA
Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
Zastępczyni dyrektora wydawniczego: Joanna Mosiej-Sitek
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Becker do więzienia

Sąd w Londynie skazał Borisa Beckera na 2,5 roku więzienia. Byłemu gwiazdorowi tenisa, który kilka lat temu zbankrutował, udowodniono poważne oszustwa – zatajał majątek w postępowaniu upadłościowym.

Marek Deryło

Sześciokrotny zwycięzca turniejów wielkoszlemowych ukrywał aktywa (współwłaścicielstwo nieruchomości, udziały w firmie), nie poinformował o wielkiej pożyczce, którą wziął. Wszystkiego zebrało się, jak podaje BBC, 2,5 mln funtów. Jeśli w więzieniu Niemiec będzie „dobrze się sprawował”, to może opuścić je po roku i trzech miesiącach, a resztę kary spędzić pod nadzorem kuratorskim. Orzekł sąd londyński, Becker w Wielkiej Brytanii mieszka od 2012 r.

Niemiecki magazyn sportowy „Kicker” pisze, że były mistrz w czasie kariery zarobił na korcie i dzięki reklamom ok. 50 mln dol. Ale kariera skończyła się w 1999 r.

Parę lat później rozwiódł się z żoną, w sądzie ostatnio nazwał to wydarzenie „bardzo kosztownym”. Przyznał też podczas przesłuchania, że żył na bogato – płacił miesięcznie 22 tys. funtów za wynajem domu niedaleko kortów Wimbledonu. Z sentymentu – wygrał ten turniej trzy razy, raz jako 17-latek. W piątek w sądzie Niemiec miał zawiązany wokół szyi wimbledoński krawat, pasiasty, w zielono-fioletowych barwach. O uzależnieniu



• **Boris Becker z partnerką Lilian de Carvalho w miniony piątek w Londynie**

od alkoholu i leków, które też sporo pieniędzy pochłonęło, Becker mówił i pisał już dużo wcześniej. Czwórkę dzieci ma z trzema kobietami, alimenty też kosztowały sporo.

Christian Schommers, współautor jednej z wielu biografii Beckera, powiedział kilka lat temu: „[Boris] wciąż żyje tak jak wówczas, gdy zarabiał miliony. Nigdy nie byłem świadkiem kolacji, za którą by nie zapłacił za wszystkich”.

Skazując Beckera na 2,5 roku więzienia, sędzia Deborah Taylor przypomniała niemiecki wyrok sądowy z 2002 r. Wtedy był mistrz tenisa został skazany na dwa lata w zawieszeniu za próbę uchylecia się od zapłaty 1,7 mln euro podatków. – Zlekceważył pan tamto ostrzeżenie, nie skorzystał z szan-

sy, jaką dawał wyrok w zawieszeniu – powiedział Taylor.

Becker bardzo chciał zostać biznesmenem po zejściu z kortu, ale nie potrafił. Był dilerem samochodowym, producentem sprzętu sportowego, właścicielem telewizji i serwisu internetowego. W 2008 r. ogłosił budowę Boris Becker Business Tower w Dubaju, w zamyśle pierwszą z wielu inwestycji jego imienia. Gdy po trzech latach dziennikarze pytali go o ten projekt, był wyraźnie zaskoczony. Nie potrafił określić, czy wciąż jest w niego zaangażowany. Teraz w sądzie także nie umiał określić, ile kont bankowych posiada.

Obecnie 54-letni Niemiec bankrutem został oficjalnie w 2017 r., bo nie był w stanie spłacić kilkumilionowej pożyczki wziętej

w 2014 r. od milionera Johna Caudwella. Gdy w 2019 r. wierzyciele wystawili na aukcję jego puchary i pamiątki, Tadeusz Kądziera pisał w „Wyborczej”: „Na korcie Becker słynął z ekwilibrystycznych zagrań. Potrafił rzucić się szczupakiem, byle tylko odbić piłkę. W biznesie też próbował tej metody. Niedawno zasłonił się w sądzie immunitetem dyplomatycznym. Legitymował się jako attaché Republiki Środkowoafrykańskiej przy Unii Europejskiej. Choć nigdy nie odwiedził jednego z najbiedniejszych państw Afryki, to miał je reprezentować w sprawach kultury i sportu. »Chcę zakończyć tę farsę i zacząć odbudowywać moje życie« – napisał w oświadczeniu, odnosząc się do bankructwa. Dyplomatą był pięć dni. – Paszport jest fałszywy, a numer seryjny sugeruje, że to jeden z dokumentów skradzionych w 2014 r. – mówił Cherubin Moroubama, szef biura ministerstwa spraw zagranicznych Republiki Środkowoafrykańskiej. Wówczas Becker rzucił się raz jeszcze. Dzień po ujawnieniu oszustwa przyleciał do Polski. W Kaliszu przyjął błogosławieństwo od biskupa Edwarda Jania. Oficjalnie przyjechał na spotkanie z przedstawicielami Kaliskiego Towarzystwa Tenisowego, jednak »Der Spiegel« ujawnił, że Becker zabiegał wówczas o audiencję w Watykanie. Bezskutecznie”.

Działal więc niekonwencjonalnie i z rozmachem. I jeszcze znajdował czas na tenis – był jednym z najważniejszych ekspertów BBC podczas Wimbledonu, analizował też mecze dla Eurosportu. Ba, po sezonie 2013 został głównym trenerem Novaka Djokovicia, zdobył z nim przez trzy lata sześć wielkoszlemowych trofeów.

Wyrok odsiada w londyńskim Wandsworth, największym zakładzie karnym Wielkiej Brytanii. Niecałe 5 km od Wimbledonu. ●

O futbolu, boksie i wojnie

Moce atrakcji

KUCZOK



Nigdy nie byłem koneserem boks, miałem jak dzieciak z futbolem – jeśli nie trafiali do celu, nudziłem się. Wybuchła wojna i zaszła zmiana.

Mój sześciolatek syn kocha futbol, choć ma typowo dziecięcą koncentrację uwagi – zaczyna oglądać ze mną, ale najdalej po kilkunastu minutach idzie do swojego pokoju „dograć mecz” na własnych warunkach, płynnie przechodząc w walkę pokemonów z dinozaurami; mam go wołać na bramki. Normalna sprawa, ja pierwszy mecz w całości wytrzymałem dopiero jako dziewięciolatek, kiedy kadra Piechniczka wywalczyła w Lipsku awans na mundial – i pewnie tylko dlatego, że mecz miał happy beginning, po pięciu minutach wygrywaliśmy już dwa zero.

Dziecko pragnie natychmiastowej gratyfikacji, a skoro piłka nożna polega na strzelaniu goli, przedłużający się stan bezbramkowy jest dla niego równie atrakcyjny, jak przemówienie ly-

sego przed losowaniem – nie da się tego przewinąć, a oglądać też bez sensu. Pokolenia mojego ojca i dziadka zapamiętały jako „najlepszy mecz w historii” finał Pucharu Europy z 1962 roku, ten, w którym młokos Eusebio przyćmił blask gwiazd Realu – nie mogło być inaczej, skoro zbiegły się okoliczności nader atrakcyjne. Osiem goli, galktyka żywych legend na boisku, niezwykła dramaturgia i last but not least – pierwsza taka transmisja w peerelowskiej telewizji ze zgnilego Zachodu.

Wyjątkowy fart, albo i niefart – być może starcze zrządzenie „eeee, kiedyś to były mecze”, które przez całe dekady gasiło mój entuzjazm, wynikało wprost ze wstrząsu percepcyjnego pokoleń wychowanych na meczu Benfica-Real, z ich wiecznej melancholii – zaznali arcydzieła na samym starcie, by przez resztę życia rozpamiętywać bezpowrotną utratę.

Kiedy w miniony wtorek Antos zaczął ze mną przed ekranem, nie mogłem się spodziewać, że oto nadeszła jego kibicowska inicjacja: mecz, od którego nie zechce się oderwać do końca, w przerwie niecierpliwie dopytując, ile jeszcze minut będą odpoczywać. Znowu Real – zawsze wielki, zawsze obecny tam, gdzie się dzieje historia klubowej piłki – prowadzony w tańcu przez „Obywateli” z Manchesteru, dotrzymał im kroku, w efekcie zobaczyliśmy spektakl doskonały. Nie

podejmę się próby ekfrazy, dość powiedzieć, że to piłkarskie dzieło sztuki nie miało pustych przelotów, zobaczyliśmy półtoragodzinne highlights na żywo, mecz nieskracalny, mapę w skali 1:1. Antek poznał antologię piłkarskich majstersztyków i potem wierzył nogami przez sen; wierzę, że tego meczu nie zapomni nigdy.

Jeśli bycie koneserem piłkarskim oznacza zdolność kontemplowania bezbramkowych remisów, w boksie zapewne jest umiejętnością skupienia uwagi na kunktatorskich walkach, bez ciosów kładących na deski, przetrzymywanych w kłinczu. Nigdy nie byłem koneserem boks, miałem jak dzieciak z futbolem – jeśli nie trafiali do celu, nudziłem się.

Wybuchła wojna i zaszła zmiana. Tęsknię za czasem, gdy boks uchodził za brutalny sport. Cioteczki jęczały, że by natychmiast przełączyć „bijatykę tych barbarzyńców” na kanał przyrodniczy, panny z dobrych domów pokątnie wzdychały do spoconych torsów wagi ciężkiej, damy omdlewały pod wachlarzem i wrażeniem wrażeń ciosów, dżentelmeni empatycznie syczeli z bólu na widok rozciętych brwi, a potem z uznaniem bili brawo, tłumacząc swoją „guilty pleasure” co najmniej Hemingwayem. Lecz przecież w ringu zawsze stoi sędzia w symbolicznej biele, strzegący zasad równie żelaznych, jak moc pięści, bo pomimo obszczeni-

wanek i pogroźek, stanowiących tradycyjne przygotowanie do walki, nikt nikomu nie chce zrobić krzywdy.

Na froncie zasad nie ma żadnych: są co prawda konwencje układane w gabinetach, korytarze humanitarne wytyczone przy stołach negocjacyjnych, ogłaszane zawieszenia broni, ale wojenny żywioł ma je za nic, ludzie okazują się stworzeni do tego, by odbierać sobie nawzajem życie i zatacać się w tej możliwości, zabijają na wszelkie sposoby, chodzi właśnie o to, aby wyrządzić jak najwięcej krzywd. Champion sprzed dekady jest teraz merem oblężonej stolicy kraju, któremu odmawia się prawa do istnienia. Bokserskie walki stały się nagle kojącą dla oka oazą dyplomatycznego rozstrzygania sporów, można je pokazywać dzieciakom zamiast dobranoczek.

Tyson Fury wyłączył Whyte’a z grą, jednym dyskretnym ruchem, zdmuchnął go jak płomyk, dziabnął podbródkowym, a potem lekko popchnął: rywal runął jak spróchniałe drzewo, potem jeszcze próbował nieporadnie odzyskać pion, lecz sędzia ostatecznie go przytulił, kończąc walkę. Chłopaki się poprzepaszali, pogratulowali sobie nawzajem, „Król Cyganów” zaintonował balladę sprzed pół wieku, którą podjęło bez mała sto tysięcy gardel, testosteron rozplynął się w czułości, boks zlagodził obyczaje. ●

Wojciech Kuczok